

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 36.

WARSZAWA, 18 SIERPNIĄ 1929 R.

CENA NUMERU 80 gr.

CIEMNOŚCI SANACYJNE

1. „NEBULIUM“ *)

NAUKA kosmografji podaje nam bardzo ciekawe szczegóły budowy mgławic, ukazujących się w przestrzeni między gwiazdami stałymi i planetami. Mgławica jest to albo skupienie nagromadzonych gęsto obok siebie gwiazd i gwiazdek, albo też olbrzymie ognisko świecących gazów, będących w nieustannym ruchu wybuchowym. Skład chemiczny takich mgławic odczytuje się na widmie. Najczęściej występuje w nich wodór i hel oprócz innych gazów. Lecz nie we wszystkich tworach mgławicowych te pierwiastki znajdujemy. Panuje tu wielka różnorodność.

We wszystkich mgławicach powtarza się jednak zawsze jeden i ten sam pierwiastek, bliżej nieznanym i nigdzie więcej nie występujący. Ten stały, składowy pierwiastek otrzymał w kosmografji nazwę „*nebulium*“ (*nebula* — mgła). Odbija on się na widmie wyraźną linią zieloną. Niekiedy znika nawet wodór i hel, lecz „*nebulium*“ zjawia się na każdym widmie.

Dalej mówi nam nauka kosmografji, że mgławice ulegają różnym przeobrażeniom wewnętrznym. Wyobraźmy więc sobie przemianę mgławicy na coś w rodzaju komety, bujającej w przestworzach. A wiadomo, że kometa, zbliżająca się do słońca lub innej gwiazdy stałej, przybiera zwykle postać, w której można wyróżnić najpierw głowę, a za głową wydłużający się ogromnie ogon (inni mówią warkocz). Ten ogon, chociaż zawiera znikomą ilość materji, ciągnie się nieraz w przestrzeni na 100 milionów kilometrów, a oprócz tego wydaje często wspaniałe efekty świetlne (patrz: M. Ernst, Kosmografja, wyd. 2, str. 147 i 161).

W przestrzeniach polskiego układu politycznego spotykamy również gwiazdy stałe, planety, mgławice, komety, meteory, spadające gwiazdy i t. d. Dzisiejsze skupienie sanacyjne jest niczem innym, jak nowym przeobrażeniem tej samej mgławicy politycznej, która się pojawiła oczom naszym już przed wojną a następnie ulegała kilkakrotnym zmianom. Jest to rzecz zwykła w kosmografji. Bliskość innych większych

gwiazd wywołuje i przyspiesza wewnątrz mgławicy wybuchy i wstrząśnienia. Wojna światowa rzuciła tę mgławicę w przestrzeń i zamieniła ją w kometa. Było to wstrząśnienie nagłe, potężne, wyjątkowe.

W przestrzeniach wszechświata mgławice nie przemieniają się w komety, lecz w świecie ludzkim zdarza się to bardzo często. Stało się to właśnie u nas. Mgławica polityczna, złożona z pierwiastków socjalistycznych, radykalnych i konserwatywnych, wystrzeliła w przestrzeń polską, jako t. zw. „niepodległościowa kometa“ i wleciała do wnętrza astronomicznego układu Austrii i Niemiec, pozostając długo pod wpływem tych „słońc“. A kiedy te „słońca“ przygasły, zaczęły tracić blask także i komety, ponieważ one same z siebie nie wydają światła, lecz świecą tylko światłem odbitem.

Zaświeciło jednak nowe słońce, słońce Polski, użyczając swoich blasków wszystkim planetom, mgławicom, kometom i t. d. Zakręciła się też zęcnie na miejscu kometa „niepodległościowa“, okrążyła Wiedeń i Berlin, przerzuciła się na Paryż i Londyn, rozstrzepała się po drodze, porzuciła w przestrzeni najstarsze, wygaste już składniki (konserwatywne), i zjawiała się w polskim układzie politycznym jako jaskrawo czerwony, socjalistyczny twór astronomiczny.

Wyodrębniła się i ukształtowała głowa, a za nią długi ogon. Raz głowa była większa, a ogon mniejszy — później zmieniało się to w stosunku odwrotnym. Głowa skupiała około siebie różne pierwiastki, udzielając jednym przywileju pozostawania w jej pobliżu, a spychając inne na dalekie, zaś niekiedy nawet bardzo odległe krańce ogona.

W obecnej chwili obok głowy znalazł się najmłodszy gwiazdzisty twór sanacyjny (pułkowników), gdy natomiast pierwiastki starsze, czerwone, radykalne, zostały przezornie zepchnięte do ogona, ażeby nie oślepiły swoim światłem mieszkańców tych krain, dokąd się wciska kometa. Wewnątrz niej pali się, słychać wybuchy, grzmoty, sypie się popiół, odrywają się od niej strzępy... jak w każdej mgławicy i komecie.

Kosmografja uczy nas jeszcze, że kometa często rozpada się na dwie lub więcej części, które jednak przebiegają tę samą drogę w przestrzeni. Choćby

*) Przedtem przeczytać w nr. 35 artykuł „Czy istnieje filozofja polityki sanacyjnej?“.

chciały ją zmienić, nie mogą. Chyba że popchnie je w innym kierunku jakaś siła postronna (wpływ innego ciała niebieskiego). Dopóki tego zewnętrznego pchnięcia niema, dopóty drogą macierzystej komety przelatają nie tylko główne jej części, ale także różne pogubione rozbitki. Tem się np. tłumaczy okoliczność, że konserwatywne strzępy komety sanacyjnej lecą wbrew swojej woli, w ogonie (lub osobno) torami czerwono-socjalistycznymi. Taki bowiem kierunek biegu został nadany komecie w początkach lotu.

Nieraz małe strzępy nawet narzekają, że są w ogonie, a nie przy głowie, lecz lecą przyjętym rozpadem dalej w tym samym kierunku, zmieniając jedynie kolejność następczą i porządek oboczny (prawą czy lewą stroną toru).

Skład chemiczny jednak, mimo zmiany barwy i światła, pozostaje zawsze ten sam. Na widmie komety sanacyjnej ścielą się — pomimo zewnętrznych zmian — te same znaki składowych pierwiastków. Zjawia się więc owo nieznanne „*nebulium*”, które odnaleźć można w każdej mgławicy, w każdej jej odmianie i w każdym przeobrażeniu. To „*nebulium*” polityczne prześwieca przez całą zmienność i chaotyczność nieurzędowych programów i haseł sanacyjnych. To „*nebulium*” promieniuje z głowy i z ogona.

2. PRZYCZYNY NIEDOKŁADNOŚCI I TARC

Porównanie nigdy nie może uchodzić za dowód. Ono tylko ułatwia rozumowanie. Posługując się powyższym porównaniem, nie mieliśmy wcale zamiaru uważać go za wystarczającą przesłankę do wysunięcia wniosku. Ale to porównanie było potrzebne, ażeby wykazać, że nawet mgławice i komety mają coś stałego w sobie, że pomimo olbrzymich przeobrażeń wewnętrznych, mimo rozpadania się części, mimo nawet całkowitego rozsypywania się (tak się rozsypują przedewszystkiem poruszające się komety) — pozostaje zawsze ten sam kierunek drogi, po której przebiega ją szczątka czy całość.

Zbiorowisko sanacyjne, złożone z najrozmaitszych żywiołów, często ze sobą sprzecznych, nie posiada ujawnionego kierunku drogi, wytyczonego jasnym rozumowaniem i odmierzonego wskaźnikami celowo obmyślonemu i umiejętnie zbudowanemu programowi — lecz mimo to istnieje niewątpliwie w czyjejs świadomości wyznaczone łożysko płynącego nurtu, do którego wpycha się tę całą chaotyczną różnorodność. Nie wszyscy rzucają się w ten nurt „na ślepo”, z zamkniętymi oczyma. Są niewątpliwie tacy, co świadomie go pogłębiają i świadomie do niego wciągają innych.

Zbierania sanacyjna płynnie z hasłem na ustach: „wszystko dla państwa” a na brzegach nurtu stawia gęsto rozwieszony napisy: „trzeba wzmocnić władzę wykonawczą”. Dokąd to wszystko prowadzi, i jaki ma być ostateczny koniec tych zabiegów — o tem się nie mówi. Niewolno o to nawet pytać przeciętnemu pływakowi. Znajomość „złego i dobrego” należy bowiem tylko „wybranych” i „wtajemniczonych”. Oni stanowią głowę komety, a reszta jest jej ogonem.

Chcąc otrzymać wierny obraz sił, działających wewnątrz „sanacji”, musimy umieć odróżniać żywioły bierne i uległe od czynników rozkazujących i produkujących. I tak np. konserwatyści, pomimo nadrabiania miną i hałaśliwego krzyku, są drugorzędnym składnikiem „sanacji”, z którym prawie się nikt nie liczy. Dowodem tego jest fakt, że konserwatyści, posiadając nawet swoich przedstawicieli na wysokich szczeblach sanacyjnej drabiny, nie zdołali udaremnić nowego projektu ustawy o obrocie ziemią, który swoim radykalizmem przewyższa wszystko, co w tej dziedzinie

w Polsce poprzednio było. Są więc konserwatyści wielkością martwą i bierną.

Myliłby się jednak ten, kto by przypuszczał, że rzeczywistą siłą popędową sanacyjnej komety jest to, co się wyodrębniło w głowę widoczną od zewnątrz. Głowa ta jest tylko zewnętrzną powłoką sprężyny właściwej, ukrywającej się, lecz stale działającej. Niedociągnięcia, zgrzyty, tarcia, trzaski, wykołajenia, nierówne skoki, odwroty i t. d., towarzyszące lotowi sanacji, mają swą przyczynę w tem, że ta widoczna głowa komety nie była i nie jest sprawnym narzędziem ukrytej siły. To narzędzie, przenoszące energję popędową z ukrytego źródła na jawne kółka maszyny sanacyjnej, jest zmontowane niedość doskonale, a ponadto materiał, z którego jest zbudowane, posiada wiele braków. I tem należy tłumaczyć te wszystkie zaburzenia, które coraz częściej rozgrywają się przed naszymi oczyma wewnątrz maszyny sanacyjnej.

Ukryte „*nebulium*”, widoczne na widmie działających komety nie może znaleźć doskonałego wcielenia ani w jednej osobie, ani w jednym stronnictwie, lecz przenosi się od grupy do grupy, przybierając coraz to inne wcielenia polityczne i wytworząc coraz to dziwniejsze zespoły mgławicowe. Dla zachowania zewnętrznej ciągłości pieczętuje je zwykle nazwiskiem jednego człowieka, ale czyni to dlatego, ażeby z niego zrobić nieprzepuszczalną zastonę, na której mogłyby się zatrzymać przenikliwe oczy, chcące zbadać istotę tajemniczego „*nebulium*”.

Jest to poniekąd wygodne, albowiem powiedzeniem: „On tak chce” — usprawiedliwić można nieoczekiwane i niezrozumiałe pociągnięcia sił zakulisowych. Różne niejasności i wątpliwości przecina się krótko twierdzeniem: „On tak chce” — i koniec.

Oczywiście „*nebulium*” działa i promieniuje nawet wtedy, gdy pomocnicze transmisyjne koło odpoczywa. „*Nebulium*” jest starsze, niż głowa czy ogon „sanacji”, która jest tylko nowem, przejściowem, i ułamkowym przeobrażeniem tej tajemnej, ukrytej siły.

„*Nebulium*” jest niejako duszą, ożywiająca luźnie spójne członki „sanacyjnego” ciała. „*nebulium*” promieniuje raz silniej, to znów słabiej, ale nigdy nie popada w beczynność. I po tych promieniach możemy poznać jego przyrodzone właściwości.

3. KIERUNKI DZIAŁANIA

Szukając filozoficznych podstaw polityki sanacyjnej, nie mamy na myśli drugorzędnych przejawów działania, czy też rozbieżnych programów, które wyrastają dosyć obficie pod promieniami nieznanego „*nebulium*” (stałego pierwiastka w mgławicy). Nam chodzi o to, co jest najistotniejsze i trwałe w działaniu kierowniczych kół sanacyjnych.

Ta istotna i trwała dążność przejawia się w dwóch prądach: 1) jeden burzy, niszczy, łamie, rozбивa; 2) drugi stara się budować nowe formy życia państwowego i społecznego oraz pragnie wprowadzić nową „ideologję”, ażeby wpoić ją jednostkom i całemu narodowi.

Tajemnicze „*nebulium*” posiada też dwa rodzaje promieni: 1) jedne działają zabójczo, ujemnie i szkodliwie; 2) drugie dodają sił, wzmocniają i niemal pieczą.

W chwili obecnej działalność ujemna, niszcząca, burząca, rozбивająca i łamiąca góruje nad działalnością twórczą i budującą nowe formy. „Sanacja” jest dziś przeważnie siłą rozrywającą dotychczasowe wiązadła życia narodowego, religijnego i społecznego.

W dziedzinie narodowej niszczy się i łamie z całą surowością wszelkie wpływy narodowców pol

szych. Odsuwa ich się od udziału w urzędach, w wojsku, w szkolnictwie — a nawet poczytuje ich się za wrogów państwa. Z wysokich ust padają zapowiedzi całkowitego ich wytepienia. Jeżeli utrzymały się gdzieś w machinie państwowej jakieś małe szczątki „endecji“, to i te przeznaczone są na zagładę. Mówi nam o tem bojowe pismo tych, co o sobie buńczucznie wykrzykują: „my, piłsudzczy“ (tygodnik „Głos Prawdy“, nr. 301, str. 372):

— „Zgniecenie resztek tego panowania jest, jeśli wyznać mamy coś z naszego pogramu endekom, naszym zamiarem zdecydowanym“.

Walkę z obozem narodowym prowadzą wszystkie sanacyjne zespoły. Zarazono je nienawiścią, uzbrojono w najgorsze i najjadowitsze pociski, rozgrzeszono je z góry z wyrzutów sumienia — aby ułatwić jak najszystsze wytepienie i zniszczenie ludzi oraz ideologii narodowej.

A z tem zaciekle niszczaniem żywotnych i zdrowych części narodowego obozu idzie w parze równocześnie sztuczne dźwiganie żywiołów obcoplemiennych. „Sanacja“ zawiera sojusze wyborcze z Żydami i Rusinami, patronuje separatystycznym (regionalnym i federalnym), dążnościom białoruskim i ruskim, głosi ideę braterstwa z wszystkimi mniejszościami (również z Niemcami), zaprasza do Polski berlińskich literatów, polityków i „pacyfistów“ — jednym słowem: starannie pielęgnuje i podlewa obcoplemienne chwasty, ażeby wyżej i bujniej rosły, niż narodowe, polskie rośliny. Szczególną i wprost niezrozumiałą uległość okazuje „sanacja“ Żydom.

„Pierwsza brygada“, tak dumna i zarozumiaław obec Polaków, jest zawsze uległa i wyrozumiała dla interesów żydowskich. Czasem przywódcy sanacyjni zgrzytają zębami, boczą się, gniewają; lecz wkońcu zawsze zrobią to, czego żądają od nich nacjonałiści żydowscy.

W dziedzinie religijnej działanie „nebulium“ jest oględniejsze. Kokietuje zalotnie Watykan, nie zadiera otwarcie z episkopatem polskim, wygłasza nadwet czułości i okazuje pewną zyczliwość zrzeczeniem religijnym — lecz to są tylko pozory. Nie mogąc się zdobyć na natychmiastową walkę otwartą i nie mając najmniejszych widoków zwycięstwa, „sanacja“

proceedzi z religią wojnę podjazdową, przeważnie ukrytą. Jest ona skierowana przeciw katolicyzmowi. Wszystkie inne wyznania, a nawet sekty heretyckie, żyją nietylko w spokoju, lecz niektóre z nich cieszą się nawet wielkimi łaskami dostojników sanacyjnych (np. marjawici w Płocku). Kiedy różne zgłaszane ustawowe projekty „reformy“ ścieśniają uprawnienia kościoła katolickiego w życiu państwowem (zwłaszcza w zakresie prawa małżeńskiego i szkolnictwa), równocześnie te same „reformy“ domagają się swobód, wolności i rozszerzenia uprawnień dla innych wyznań i sekt.

Czy to jest przypadkowy zbięg okoliczności? Czy do rzędu niewinnych „przypadków“ należy np. owo głośnie wystąpienie czołowych dzienników sanacyjnych (pod dowództwem „Epoki“) w obronie masonerji? — Czy zachwalanie tej organizacji to także „wypadek“? — Dlaczego usta „sanatorów“ kornie i z nabożeństwem wypowiadają pochwały dla masonerji, a z nienawiścią i bez powściągliwości rzucają ohydne i wstrętne obelgi na zasłużonych biskupów polskich? Jakże to wytłumaczyć? — Idźmy dalej.

W dziedzinie społecznej zabójcze promienie „nebulium“ wciskają się do wnętrza wszystkich organizacji, ażeby je rozsypać, a przynajmniej zakorkować zarządem sanacyjnym. A wśród tych gruzów i martwych głazów niszczonej organizacji pozwala się żyć tylko „strzelcom“ i „legjonistom“, na których spływają obficie dobroczynne promienie z utajonego ogniska siły. Wymownym przykładem tej roboty jest zakorkowanie organizacji wojskowych, które wyspano do olbrzymiej butli „federacyjnej“ i zakorkowano „dożywnio“ sanacyjnem zatykadłem. Pomysł to sprytny, na nieszczęście jednak wielka butla „federacyjna“ jest bardzo krucha i napewno się rozbije na kawałki. Ale w każdym razie i po tej „twórczej“ próbie pozostaną gruzy, jak tego żąda „nebulium“.

Rozkaz, wydany w kwietniu r. b. przez pułk. Sławka i ppułk. Polakiewicza, ażeby opanowywać wszystkie organizacje społeczne, dąży właśnie do zupełnego unicestwienia a przynajmniej zakorkowania wszelkich wpływów, które nie chcą się poddać posłuszeństwu sanacyjnemu.

Toruń

STEFAN SACHA

TARGI HASKIE

W CHWILI, gdy piszemy te słowa, zapanował na politycznym, rynku starej Hagi nieopisany harmider. Spółka aljancka, która przystąpiła do odstąpienia Niemcom, za umówioną w planie Younga cenę, zastawu, jakim jest okupacja Nadrenji, popadła w gwałtowne nieporozumienie o 48 milionów marek różnicy udziału w zyskach między Anglią z jednej strony, resztą zaś współników z drugiej. Harmider ten mógłby bardzo cieszyć uszy polskie, gdyby można było przypuszczać, że krewki mr. Snowden naprawdę trzaśnie drzwiami, rozbije tranzakcję, a wojska francuskie pozostałyby dalej nad Renem jako gwarancja pokoju w Europie.

Niestety nadzieja to bardzo wąta. Poczęści dlatego, że 48 milionów zbyt mało waży na tle 2 miliardowej przeciętnej rocznej spłaty niemieckiej według planu Younga, powtóre dlatego, że choć w zestawieniu z angielskim, spornym właśnie, udziałem w tej spłacie, mającym wynosić 398 do 440 milionów, różnica owa waży ciężej, to jednakże doskonale dzieli

się przez dwa i nadaje się do „krakowskiego targu“.

Wreszcie zaś, co najważniejsza, p. Briand bardziej łaknie paktu Younga, niżli p. Snowden, przeto przemysłowa już, gdzieby z najmniejszą na „prestige“u, i w gotówce stratą mógł „opuścić“. Podobno bierze pod uwagę niemieckie świadczenia rzeczowe, czyli towarową część wydatów odszkodowawczych, które się p. Snowdenowi również nie podobają.

Niewiadomo jednak, czy Niemcy zgodziłyby się na odpowiednie zmiany w pakcie Younga. Wobec tego powstała głucha i złowroga wieść, że p. Briand bada możliwości ustępstw politycznych na rzecz Anglii, drogą pośrednią przez Niemcy, na terenie reńskim.

Podlegałyby one zapewne przedewszystkiem na przyśpieszeniu ewakuacji i uniezależnieniu jej od „mobilizacji“ części „skomercjalizowanej“ długu niemieckiego. Wyrażając się prościej, owe ustępstwa mogłyby polegać na zwrocie Niemcom reńskiego zastawu, zanim Francja otrzyma upragnioną większą gotówkę do ręki. Łamałoby to zasadę odwrotną, wysuniętą przez Poin-

caré'go. Groziłoby Francji, że może równocześnie utracić Ren i finansowo osiąść... na lodzie. Ale byłoby szalenie pacyfistyczne i zapewne skłoniłoby p. Mac Donalda do udobruchania p. Snowdena. Pakt Younga zostałby ocalony przynajmniej w zasadzie.

Skądże płynie tak niepohamowana francuska adoracja dla amerykańskiego arcydzieła finansowego kompromisu? Czem ujęta została tak żywo nasza sojuszniczka, iż gotowa wzamian wypuścić z rąk ostatnią realną, wojskową gwarancję swego bezpieczeństwa, że stara się zgrupować dookoła siebie, dla obrony przed angielskim na pakt zamachem, cały swój wierny zastęp romańsko-słowiański, że pozyskała dlań nawet frondujące Włochy — kosztem 36 z półmiliarda owych zakwestjonowanych 48 milionów rocznie? Pomijając obłądne nastroje pacyfistyczne, zachowując się ściśle w obrębie interesu, bez którego, jak wiadomo, „niema karesu“ nawet w branży pacyfistycznej, stwierdzić wypada przedewszystkiem, że swego zysku Francja nie upatruje bynajmniej w owych 48 milionach, głównym przedmiocie irytacji mr. Snowdena. Większą bowiem część tej sumy odstąpiła Francja Włochom. Rachuba finansowa francuska idzie w dwóch innych kierunkach, które głębiej różnią pakt Younga od dotychczasowego paktu Dawesa.

Ujemnie dla Francji (a dodatnio dla Niemiec) różnił się Dawes od Younga przedewszystkiem tem, że wprawdzie jego normalna spłata roczna była dość wysoka, równa 2,5 miliona złotych marek, wszelako nie była dostatecznie dla wierzycieli zapewniona, podlegała bowiem ochronie „transferu“ czyli ewentualnym ograniczeniom przekazywania gotówki niemieckiej zagranicę w wypadku, gdyby to mogło wytrącić z równowagi niemiecki bilans płatniczy i zachwiać kursem niemieckiej waluty.

W tym razie „komitet transferu“, pod przewodnictwem jeneralnego agenta odszkodowań, mógł powstrzymać w obrębie Niemiec odszkodowania pieniężne do wysokości 5 miliardów marek, a nawet więcej, aczkolwiek prawo gromadzenia na swym rachunku i obrotu wewnątrz Niemiec miał tylko do wysokości sumy wyżej wymienionej. Wobec ewentualności tak fatalnej jedynej deską ratunku dla wierzycieli stawałyby się „świadczenia rzeczowe“, czyli dostawy w naturze na rachunku odszkodowań niemieckich. Były one dogodnie dla Francji i stałe pobierane, wszelako tylko do wysokości paruset milionów marek rocznie — w postaci węgla (co zresztą również atakuje p. Snowden). Poza węglem niemieckie odszkodowania w naturze nie były dogodne dla żadnego ze skarbow wierzycielskich, gdyż wypadało je odstępować po znížonej cenie rodzimym importerom lub obmyślać dla nich specjalne programy inwestycyjne, miast bezpośredniej ulgi ciężarów podatkowych, o co głównie chodzi. Ponadto w razie kryzysu płatniczego Niemiec mocarstwa wierzycielskie według paktu Dawesa mogły łatwo znaleźć się wobec alternatywy albo pozostawienia lwiej części należnych sum na rachunku komisji transferu w Niemczech, albo też pobierania odszkodowań w towarze dop etnej wysokości raty rocznej.

Kryzys zaś płatniczy niemiecki może być z roku na rok uruchomiony przez Amerykę drogą powstrzymania Niemcom kredytów, na nich bowiem wyłącznie opiera się dotąd niemiecka równowaga płatnicza.

Te niepożądane dla wierzycieli (przedewszystkiem uprawnionej do 52% Francji) cenne zaś dla Niemiec klauzule paktu Dawesa zostały ograniczone w pakcie Younga o tyle, że ze znížonej, przeciętnie do 2 miliardów, rocznej raty odszkodowawczej, tylko 2/3 części 1,4 miljarda podlega moratorium do 2 lat,

przyczem świadczenia rzeczowe mają nie przekraczać normy dotychczasowej, równej połowie tej sumy, oraz stopniowo ulegać redukcji. Na tem polega negatywny zysk wierzycieli w pakcie Younga, wobec paktu Dawesa, o tyle się wzmacza zapewnienie wypłat na ich korzyść przed niemieckimi niespodziankami płatniczymi.

Realnie najważniejszą jest ta okoliczność, że Stany Zjednoczone, wobec znížki absolutnej niemieckich zobowiązań odszkodowawczych, odjęcia im przywileju pierwszeństwa wypłat wobec długów handlowych i wogóle zbliżenia ich w charakterze z temi ostatnimi, gotują się kontynuować i rozwijać inwestycje swego kapitału w Niemczech; tem samem zaś podtrzymują ich bilans płatniczy i wypłacalność.

Zysk pozytywny, przedewszystkiem francuski w pakcie Younga ma polegać na tem, że około 1/4 części zredukowanej rocznej spłaty niemieckiej, mianowicie 660 milionów marek, zostało skomercjalizowane i nosi charakter zobowiązania bezwzględnie gotówkowego. Należną sobie, mniej więcej połowę tego dochodu ma Francja nadzieję „mobilizować“ na rynku amerykańskim, w postaci obligacji. W ten sposób powinny się udać, wprawdzie nie odrazu (Ameryka nie czyni co do tego żadnych złudzeń) lecz w ciągu lat paru, zrealizować kapitał dochodowi temu odpowiadający, t. j. przy stopie 10% (wcale nie za wysokiej na obecne czasy), jakieś 3,5 miljarda marek złotych. O taką sumę mógłby zostać zmniejszony francuski wewnętrzny dług wojenny i odpowiednio zmniejszony budżet. O tyle też wzrósłby we Francji zapas rozporządzalnego dla lokat, także zagranicznych, kapitału, co powinno interesować również Polskę.

To jest zatem prawdziwa francuska cena sprzedaży na zastawu reńskiego, cena dotąd niepewna, dopóki „mobilizacja“ w Stanach nie zostałaby faktycznie przeprowadzona; cena narażona na klęskę wraz z paktem Younga, gdyby go istotnie mr. Snowden miał obalić; cena wreszcie, którą ze strony francuskiej uznano zasadniczo za równowartość finansową wystarczającą dla skompensowania utraty wojskowej gwarancji bezpieczeństwa nad Renem. Komisja bowiem „konstatacyjna“ nie jest wartością realną.

Wszelako to podkreślić należy, że pakt Younga ma przynieść interesujące Polskę korzyści, również innym kontrahentom lub inspiratorom: Niemcom oraz Ameryce. Przedewszystkiem oczywiście reńską korzyść wojskowo-polityczną Niemcom. Lecz to nie dosyć. Przypominam o czem już raz na tem miejscu w kwietniu b. r. pisałem, że jeżeli pakt Dawesa pociągnął za sobą inwestycje amerykańskich miliardów w Niemczech oraz ciężko naruszył finansową równowagę sił Niemiec i ich wschodnich sąsiadów, to pakt Younga, pomyślany jest przez Amerykę jako nowy etap tego samego *business'u*. Okres Dawesa służył odbudowie i udoskonaleniu niemieckiego aparatu wytwórczego.

Natomiast okres Younga, zniżając ciężary niemieckie i nadając im normalniejszy, bardziej handlowy charakter, ma umożliwić dopływ ponownej fali kapitału amerykańskiego do Niemiec, która w niedość pewnej konjunkturze Dawesa trafiłać poczęła na trudności. Tym razem nietyle chodzi o kredyt amerykański dla niemieckiego gospodarstwa, ile przedewszystkiem o czynny w niem udział amerykański, o wkład kapitału w niemieckie przedsiębiorstwa, o współnictwo z nimi. Nic innego nie oznaczają owe dość już liczne, choć to dopiero początek, fuzje przedsiębiorstw amerykańskich i niemieckich. Cel jest jasny i niedwuznaczny: wspólna ekspansja przemysłowo-kapitalistyczna na wschód, w ostatecznej konsekwencji podbój

i wasalizacja gospodarcza Europy wschodniej przez francuskiej, strony oddawanego do dyspozycji banku sojusz Ameryki i Niemiec. Czy tylko sojusz i podbój kapitału, to łatwo mogłaby nastąpić majoryzacja czyli gospodarczy? Czy widział kto kiedy zależność gospodarczą przy niezależności politycznej? rozporządzenie przez ciało zbiorowe pieniędzmi jednego z członków. Należy się pocieszać nadzieją, że do podobnego absurdu nie dopuściłby chyba nawet p. Briand, w największym pacyfistycznym uniesieniu.

Krótko mówiąc, targi haskie zagrażają nam nie tylko wojskowo-politycznym niebezpieczeństwem reńskim, lecz niemniej również finansowo-politycznym niebezpieczeństwem amerykańsko-niemieckim. To drugie jest niemniej groźne od pierwszego, ale bardziej bezpośrednio. Wojna militarna z Niemcami nie czeka nas natychmiast po opuszczeniu Nadrenji przez wojska aljanckie, natomiast niemiecko-amerykańska ofensywa gospodarcza w swej nowej, spotęgowanej postaci już wysłała na nasz grunt bojową awangardę Harrimana. Nie należy się łudzić co do jej rzekomo neutralnego pod względem politycznym, nawet ze strony amerykańskiej, charakteru. Ekspansja wpływu politycznego wślad za ekspansją gospodarczą jest naturalna, nieunikniona i dla tej drugiej użyteczna, bo ją wspiera i ochrania. Przyznać zaś trzeba, że jesteśmy do jej przyjęcia wzorowo przygotowani przez zeszłoroczną, etatystyczno-konsumencką politykę gnębienia rolniczego fundamentu gospodarki narodowej. Ledwie zipląc w kapitalistyczno-obrotowym zastoju, w chwili gdy nadciąga ku nam ciężka nawałnica nowej ofensywy ekonomicznej, gotowiśmy lada kilkunasto milionową ofertę jakby „Pana Boga za nogi chwytać” i pół kraju za grosze zastawić.

Wiadomo że „przeciwagę” wojskowo-politycznemu niebezpieczeństwu ewakuacji Nadrenji obmyślono sobie w postaci osławionej (a negowanej przez Niemcy) komisji „konstatacyjno-koncyliacyjnej”. Pożal się Boże! O jakiegokolwiek przeciwstawie ofensywie ekonomicznej na wynędzniały nasz kraj nic nie słysząc, gdyż niebezpieczeństwo to oficjalnie nie istnieje.

Tutaj możemy liczyć jedynie na przychyłność i dobrze zrozumiany interes własny Francji, oraz... jej amerykańską mobilizację, dzięki której wzrosłaby siła kapitalistyczna Francji i mogła zostać przekazana w postaci kredytowej jej sojusznikom wschodnim.

Niestety i nad tą perespektywą uzyskania do swobodnej naszej dyspozycji kapitalistycznych środków obrony przeciwko kapitalistycznej ofensywie amerykańsko-niemieckiej zawisły ciężkie chmury. Po pierwsze bowiem obawiać się należy, że jeśli Francja odda Nadrenję zanim zmobilizuje w Ameryce dostatecznie wielką sumę, i jeżeli wogóle nie zmobilizuje jej dość szybko, zanim jeszcze ekonomiczny sojusz amerykańsko-niemiecki na podstawie paktu Younga dostatecznie się rozwinie, wówczas Francja znajdzie się odnośnie do dalszej swojej „mobilizacji” na łasce i niełasce wuja Sama, każdej chwili będzie mogła być poddana presji z jego strony. Powtóre jako pewnego rodzaju centrala międzynarodowego kredytu projektowany jest w pakcie Younga Bank Reparatywny. Kapitał tego banku ma powstać poza pewnem, jak zwykle, niewielkiem *quantum* akcyjnego funduszu zakładowego, głównie z jednorazowego wkładu francuskiego 660 milionów marek, oraz wkładu niemieckiego 100 — 400 milionów marek. Poza tem przewidziane są specjalne emisje pożyczek pod firmą banku, podobnie (choć nie wiadomo czy na podobnych warunkach) jak były emitowane pożyczki sanacyjne Ligi Narodów. Zwraca przedewszystkiem uwagę stosunkowo niezbyt znaczna, wobec ogromu potrzeb Europy wschodniej, wysokość zapewnionego bankowi kapitału, oraz bardziej jeszcze taka organizacja jego rady naczelnej, która przypomina Radę Ligi Narodów. Jeśli nie zostanie tam zastrzeżona zasada proporcjonalności głosów w stosunku do każdorazowo z jakiejś, np.

francuskiej, strony oddawanego do dyspozycji banku kapitału, to łatwo mogłaby nastąpić majoryzacja czyli rozporządzenie przez ciało zbiorowe pieniędzmi jednego z członków. Należy się pocieszać nadzieją, że do podobnego absurdu nie dopuściłby chyba nawet p. Briand, w największym pacyfistycznym uniesieniu.

Tak więc w chwili obecnej wazą się w Hadze nie tylko losy Nadrenji, w zasadzie już przesądzone, lecz, co może jeszcze ważniejsze, wazą się również losy mniejszej lub większej finansowej swobody ruchów Francji. To zaś jest bodaj równoznaczne z najważniejszą polską szansą obrony przeciwko opartej na planie Younga kapitalistycznej ofensywie amerykańsko-niemieckiej. Więcej nawet, bowiem przeciwko samej ewakuacji Nadrenji, zatem niebezpieczeństwu o charakterze wojskowo-politycznym nie istnieje lepsze osiągalne *antidotum*, jak oddany do swobodnej polskiej dyspozycji, we właściwym czasie i dosyć wielki fundusz, któryby nam umożliwił udoskonalenie naszego zbrojnego pogotowia, oraz taki rozwój narodowego gospodarstwa, któryby zwiększonemu ciężarowi zbrojeń mógł podoląć.

Ogromu tego podwójnego niebezpieczeństwa, jakie zagraża Polsce na skutek ewakuacji Nadrenji z jednej strony, z drugiej zaś spotęgowanego przez sojusz z Ameryką ekonomicznego niemieckiego *Drang nach Osten* nie można szacować dostatecznie wysoko. W stosunku zaś do tego ogromu stanowczo zbyt nikłymi środkami działa polska polityka zagraniczna. Byłoby bezwątpienia dla Polski najdogodniej, gdyby p. Snowden istotnie rozbił konferencję haską i pakt Dawesa utrzymał się w swej mocy łącznie z okupacją Nadrenji. Kłopoty finansowe, jakieby stąd wyniknąć mogły dla Niemiec i ich wierzyteli, w razie wycofania się Ameryki z niemieckiego geszefu, nie byłyby bynajmniej ponad siły aljantów, w szczególności Francji. Polsce zaś mogłyby wyjść wprost na dobre nie tylko przez osłabienie niemieckiego ekonomicznego przeciw nam nacisku, lecz bodaj również pożytecznie, za pomocą aljanckiego dla nas kredytu w świadczeniach rzeczowych niemieckich. Skoro jednak mało jest nadziei, by konferencja haska istotnie mogła uleść rozbić, skoro ponadto oddawna już trzeba się było liczyć z ewentualną porażką w sprawie reńskiej, to tembardziej należało wszystkie siły wyteńczyć w tym kierunku, ażeby Polska nie została, również finansowo, wykwiłowana na targach haskich. Polska ma niezaprzeczone formalne i moralne prawo do obstawania przy tem, by Nadrenji nie ewakuowano bez jej zgody, miała zatem również możność, w pewnych przynajmniej granicach stawiać swoje warunki.

Tembardziej, że niebezpieczeństwa amerykańsko-niemieckiej ofensywy ekonomicznej na wschód nie mieliśmy powodu trzymać pod korcem wobec naszej zachodniej sojuszniczki.

O formy mniejsza. Niechby to było chociaż jakiegokolwiek zapewnienie formalne większej, na umiarkowanych warunkach opartej, pożyczki. Jakieś choćby pierwszeństwo do korzystania, w zakresie pewnej sumy z akcji międzynarodowego - kredytowej, jaką ma rozwinąć Bank Reparatywny...

Niestety — nic. Z naszej strony głęboka cisza i bierność w polityce międzynarodowej; karkołomne eksperymenty gospodarcze wewnątrz; wyciąganie rąk do Harrimana. Z za Oceanu zaś dochodzą wieści o niezwykłych urzędowych honorach dla Polski w osobie Kazimierza Pułaskiego. Jakby echo Mazurka Dąbrowskiego, granego przez Niemców Bartkom-zwycięscem podczas szturmów 1870 r.

HUMANISTA NA WYGNANIU

(LEON DAUDET)

I.

Z NANE są nadzwyczajne przygody Leona Daudet'a, świetnego publicysty rojalistycznej „*L'Action Française*”, powieściopisarza, krytyka literackiego, wogóle pisarza rasowego, autentycznego, tak niezwyklej miary jeśli chodzi o rozległość wiedzy, niezależność myśli, intensywność uczuć i moc prostego, jędrnego słowa, że nawet wśród jego przeciwników politycznych nie brak mu szczerych wielbicieli.

Po fantastycznej, jakby z romansu starego Dumasa'a, ucieczce z więzienia paryskiego, przebywa L. Daudet w Belgji, skąd niemal codziennie rozlega się jego głos donośny — w artykułach politycznych, odczytach, książkach i t. p. Chociaż oddalony od kraju własnego, jest z nim, z jego sprawami oraz ludźmi, w nieustannej duchowej styczności, posiada bowiem dar wcielania się w życie środowisk, gdzie jest nieobecny. „Nieobecność — powiada — jest potężną dźwignią duchową dla nieobecnego, gdy go łączą mocne pokrewieństwa z jego otoczeniem, z towarzyszami wysiłku i walki”. (p. „*Du Balcon de l'Europe*”, T. 1-szy „*Courrier des Pays-Bas*”).

Wskutek tego wrażliwość jego umysłu i werwa pióra nie doznały najmniejszego osłabienia (owszem, może się wzmogły jeszcze), w usposobieniu jego wszakże pewna zmiana zaszła: oto nie upęda się dzisiaj Daudet, tak namiętnie jak dawniej, za rozmaitemi znikomościami bieżącymi, poświęca natomiast więcej czasu rozpamiętywaniu rzeczy przeżytych, bądź przewidywanych, spraw politycznych, literackich, naukowych, wogóle spraw ludzkich, które rozważa z wyższego punktu widzenia i w związku nierozłącznym, przyczynowym ze sobą.

Plon tego rodzaju rozpamiętywań, tylko pogłębiających rozmyślań, jest już nader pokaźny; dwuletni rezultat pracy L. Daudet'a na wygnaniu wyraża się kilku tomami barwnych „*Souvenirs*”, „*Etudes*” i „*Milieux*” literackich (wśród których pełne życia wędrówki po Paryżu), a nadewszystko w oryginalnych szkicach filozoficznych, zebranych w czterech tomach „*Courrier des Pays-Bas*”. (Tom 1-szy „*La Ronde de Nuit*”, 2-gi „*Les Horreurs de la guerre*”, 3-ci „*Mélantholia*”, 4-y „*Les Pélerins d'Emmaüs*”. Paris. Wydanie Bernarda Grasset. Tytuły książek zapożyczone od arcydzieł malarstwa).

W powyższych szkicach uprawia autor krytykę ogólną, kontrolującą zjawiska życia w trzech dziedzinach wiedzy o niem, które w wielu punktach stykają się ze sobą, mianowicie: w polityce, jako nauce skutków, w biologji (ściślej w medycynie), jako nauce przyczyn, wreszcie w literaturze, która jest wykładnikiem życia w jego rozmaitych przejawach oraz przemianach.

Nazwałem L. Daudet'a „humanistą”, nie dlatego, że jest on znawcą i wielbicielem kultury greckorzymskiej, nie dlatego, iż pragnąłby on ideje oraz formy tej kultury uczynić kierowniczymi w życiu duchowym współczesnych — o czem później — lecz dlatego, że on sens życia samego pojmuje humanistycznie. Humanizm, podług niego, jest to stały wysiłek człowieka, opierającego się potęgą natury; i to

nie tylko potęgą zewnętrzną, lecz i tym, co z zewnątrz weń przeniknęły, które zwykle nazywamy instynktami.

Zwracam tu uwagę na niektóre myśli przewodnie humanizmu Daudet'a, jego bowiem teorie biologiczne (autor jest między innymi ukończonym medykiem), aczkolwiek wiele prawdopodobne i oryginalne, mogące zainteresować nie specjalistów, wymagałyby oceny fachowej.

Występując wszędzie przeciw teorjom naukowym antyhumanistycznym, panującym w wieku ubiegłym (materiaлизм, determinizm i t. p.), Daudet tak np. określa człowieka: „Człowiek — powiada — jest przyrządem — nie zaś maszyną, jest tu pewna różnica — do przekształcania pierwiastka ilościowego na jakościowy... Od chwili swego poczęcia aż do śmierci, człowiek nie przestaje wznosić swoich rytmów ilościowych ku jakości, i możnaby powiedzieć, że cały jego wysiłek zmierza do tego, by się uwolnić od miary i rachunku, słowem od tego, co filozofowie nazywają fatalnością, a to za pomocą sposobów nieskończenie złożonych i wybiegów niezwykle krętych. Zaznaczam odrazu, że jego tkanki i jego komórki biorą udział w tych sposobach oraz przebiegłościach, tak mianowicie, że ilościowanie (kwantyfikacja) organicznie jest wszędzie wsparte, powiadamiane i nakazywane przez jakościowanie intelektualne. Myślimy nie tylko na sprawą naszego mózgowia, naszego systemu nerwowego, mózgowo-pacierzowego albo wegetatywnego, lecz także za sprawą wszystkich naszych organów, w szczególności całego naszego pokrycia skórniego. W ten sposób wyjaśnia się wpływ strony moralnej na fizyczną, o wiele ważniejszy, podług mnie, niż wpływ strony fizycznej na moralną, który także podlega pewnemu rytmowi, jednemu z najpotężniejszych w istnieniu ludzkim, lecz nad wyraz dobrze ukrytemu”. (p. „*Les rythmes de l'homme*” w tomie „*La Ronde de Nuit*”).

W czterech tomach wspomnianych szkiców zajmuje się autor głównymi rytmami człowieka, do których zalicza „rytm walki” — napadu i obrony — („*Les horreurs de la Guerre*”), „rytm nagłej zmiany” — transmutacji w przeciwstawieniu do zmiany stopniowanej, powolnej czyli transformacji — („*Les Pélerins d'Emmaüs*”), wreszcie najsubtelniejszy i najbardziej ukryty „rytm równowagi pomiędzy wewnętrznymi rytmami człowieka a rytmami natury”, rytm kontaktu życiowego z rzeczywistością (nazywa go Daudet nie dającym się ściśle przetłumaczyć, w tym wypadku wyrazem „*l'ambiance*”; p. „*Mélantholia*”).

Wszystkie te „rytmy” służą — podług autora — człowiekowi do wznoszenia się „od ilości ku jakości”, do uwalniania się od „miary i rachunku”, — są źródłem jego samorzutności, tego polotu twórczego, który go wyrwa z kleszczów fatalizmu.

Poglądy swoje w tej mierze popiera Daudet szeregiem faktów oraz doświadczeń laboratoryjnych, klinicznych, przedstawia w świetle odpowiednich teoryj naukowych, a to wszystko świadczy o zdumiewającej jego wiedzy, wytrawnym krytycyzmie i oryginalności myśli.

Mechanistyczny pogląd na życie i losy człowieka, poparty ogromnym postępem nauki laborato-

ryjnej, utrzymywał się aż do naszych czasów, zdaniem Daudeta, dlatego, że niedostatecznie uwzględniano fakt, iż życie jest ustawiczną transmutacją ilości w jakość, że przyznawano pierwszeństwo analizie nad syntezą i wogóle nie liczone się z doniosłą rolą tej ostatniej we wszelkich dziedzinach bytu.

Na tę rolę kładzie Daudet szczególny nacisk w studjum p. t. „*Discours de la synthèse*“, zamykającym serję jego szkiców (p. „*Les pelérins d'Emmaüs*“).

W dziedzinie umysłowej istotnym narzędziem badania jest synteza; odgrywa ona, w poszukiwaniu naukowym i filozoficznym, tę rolę, co obraz w poezji. Łącząc dwa, a niekiedy więcej punktów życia i myśli, jedną smugą światła, metafora poetycka, zdaniem Daudet'a, jest syntezą w skrócie, w stanie mgławicy. Nasze zmysły również są syntetyczne, obciążone rzutami intelektu oraz naszej pamięci dziedzicznej. Są one upustem całej osobowości naszej, nie tylko odbiorcami wstrząśnień pochodzących z zewnątrz. Można odwrócić klasyczne pojęcie sensualizmu Locke'a i powiedzieć, iż „nie masz niczego w zmysłach, czego by w pierw nie było w umyśle, o czemby nie informował i czemby nie rozkazywał umysł“.

Sam umysł jest syntezą olbrzymiego, nieokreślonego drzewa — naszych przodków; język, który wyraża tylko nieznaczną część tego umysłu, istniejącego we wszystkich naszych organach, ożywiającego nasze komórki oraz ich grupy, język ów jest grawitacją syntetyczną, prawdziwą konstelacją, mającą swe zaćmienia i swoje meteory, złączoną subtelną tkanką „rytmu życiowego styczności z rzeczywistością“, z tem, co nazywamy duszą. „Żeby sformułować — powiada Daudet — zdanie „myśle, więc jestem“, w którym Kartezjusz upatruje pierwszą zasadę, trzeba było współdziałania niezliczonych umysłów, poruszających się na łonie mnogich dusz, w równowadze i rytmie doskonałym“.

Pozostawiając życie duchowe nauce teologii, którą określa jako naukę nauk, jako syntezę syntez, autor ogranicza się do uwagi, że cała sztuka i wszelkie poznanie z dziedziny biologii, jest syntezą organicznego oraz intelektualnego, albo symbiozą. W ten sposób wyjaśnia się płodność arcydzieł poezji, prozy, malarstwa, rzeźby, architektury, a także hipotez i doświadczeń złożonych w biologii.

Podczas gdy wszystko, co pochodzi z analizy, prędko, zdaniem autora, staje się bezpłodne, a to wskutek wyczerpania treści, symbioza może być nieskończenie płodną. Duch analizy np. wydał „Maksymy“ La Rochefoucaulda, które mają twarde, iskrzące się kontury, podobne rżniętym djamentom; duch syntezy natomiast zrodził „Myśli“ Pascal'a, otwierając bezgraniczne perspektywy. Każde „poczęcie“ jest syntetyczne. Każdy akt twórczy w dziedzinie literatury, filozofii, biologii przypuszcza pewien stan odbiorczości, któremu towarzyszy skłonność wewnętrzna transmutacyjna (nagłej zmiany). Dowodów na to dostarczają dzieje twórczości genialnych uczonych, poetów, artystów i t. p. W takim stanie znajdował się młody Darwin, gdy odbywając podróż na statku „*Beagle*“ ujrzał z jego pokładu mały, bawiące się, *more puerorum*, na wybrzeżu. Stąd powstało „*Pochodzenie Gatunków*“. W takim również stanie znajdował się Szekspir, gdy przybył do zamku Elsinor i gdy tam obudziło się w jego umyśle wspomnienie o Hamlecie, księciu duńskim, w pogoni za widmem, etc. etc...

W poczęciu syntetycznym zachodzi zjawisko podobne krystalizacji. Umysł wypełniony najrozmaitszemi

falami, zarówno konkretnymi i czuciowymi, jak abstrakcyjnymi oraz idealnymi skupia w oka mgnieniu, pod wpływem działania zewnętrznego bądź wewnętrznego, wszystkie te fale energii i stwarza z nich dzieło, które myślicielowi, poecie, malarzowi — pozostaje tylko przenieść na papier bądź płótno.

Każde dzieło wartościowe, zdaniem Daudeta, powstaje „za jednym zamachem“, wynika z jednego spojrzenia, które wkłada całą duszę w jeden widok. Są to wizje moralne, zrodzone, uzupełnione wizjami fizycznymi. W dziedzinie sztuki wizje te są tem, czem są i potomność nie zmienia ich. W nauce natomiast nurzają się one w atmosferze domysłu. Hypoteza naukowa, oparta na słusznej obserwacji i ścisłej interpretacji, nawet gdy będzie obalona, nie przestaje być czemś w rodzaju interesującej ruiny. Chodzi tylko o to, dodaje często, by nie chciano w niej nadal mieszkać, co często czynią zbyt gorliwi wyznawcy.

W związku z tem stoją błędy i zboczenia syntezy, przewyższające i częstsze niż zboczenia analizy, pierwsza sięga bowiem dalej i głębiej od tamtej. Umysł syntetyczny ryzykuje więcej, niż umysł analityczny — (który dla pierwszego może służyć jako hamulec, tak samo jak synteza może powściągnąć analizę) — wszakże jego szanse odkrycia są nieskończenie wyższe. Poza tem daje on tę swobodę, ten szeroki oddech, moralny i umysłowy, jakiego dostarczają perspektywy wyzwolenia wobec widoków niewoli. Synteza — powiada autor — odrywa nas od nas samych i daje nam błogie poczucie możliwego. Analityk jest jak górnik w swoim szybie, syntetyk — jak lotnik na swoim aeroplanie. Pierwszemu grozi wybuch gazów i zagrzebanie, drugiemu upadek, ogień bądź woda. Ktokolwiek jednak poszukuje, znajduje się w niebezpieczeństwie.

Jak mamy umysły obdarzone darem analitycznym, podobnie są inne, posiadające dar syntetyczny. Pierwiastkową czynnością umysłu syntetycznego będzie odnaleźć w zbiorze naszych wiadomości, bądź naszych doświadczeń osobistych te wszelkie zagadnienia, które pozostają w jakimś stosunku z zagadnieniem, jakie chcemy rozstrzygnąć. Gdy to zostało zrobione, umysł syntetyczny sporządza listę różnic, oraz podobieństw; odsuwając na stronę różnice, chwytą on podobieństwa i stara się, zapomocą rozważania doświadczeń właściwie zastosowanych, sprowadzić je do identyczności, oddzielając w ten sposób zasadę pierwiastkową. Każda taka zasada jest kluczem, który, gdy zostanie wykuty w sposób powyższy, posłuży do otwarcia i zrozumienia jakiejś tajemnicy życia organicznego i umysłowego. Umysł syntetycznym nie gardzi faktami laboratoryjnymi, on tylko uznaje jako pewnik, że laboratorjam nie może zastąpić medytacji, jest on zdania, że dzięki niej nauka odkrywa nowe widnokreśli i odróżnia je od mirażów; jakimkolwiek będzie postęp pracy laboratoryjnej w przyszłości, nie można wątpić o tem, że duch medytacji nie przestanie rozkazywać najbardziej udoskonalonym narzędziom.

Życie określa Daudet jako nieprzerwaną transmutację (nagłą przemianę) tego, co jest ilościowe — w jakościowe, to zaś odbywa się na łonie nieustannej syntezy.

Istota życia tak pojęta, człowiek (jako jednostka, czy też jako ich odrębna zbiorowość) spełniający w niem swoje przeznaczenia na drogach, wiodących od ilości do jakości, wyzwala się w walce z samym sobą; człowiek, osiągający zdrowie duchowe, które

jest stanem równowagi pomiędzy jego duszą, czującą i myślącą i jego otoczeniu (rzeczywistością organiczną, intelektualną i t. p.). słowem osiągający mądrość t. j. dar wprowadzenia ładu i harmonji oraz neutralizowania rozdzwieńków w sobie i dokoła siebie: oto zagadnienia podstawowe humanizmu filozoficznego Daudet'a.

Mogłem tu tylko pobieżnie przedstawić jego treść, wydobywając z rozpraw autora, wypełnionych

mnóstwem nieoczekiwanych, nieszablonowych uogólnień, świetnych przenośni, trafnych analogij pomiędzy rozmaitemi dziedzinami życia i t. p., to jedynie, co wyraża jego myśl przewodnią.

Pozostaje mi jeszcze humanistyką Daudet'a w ściślejszem znaczeniu, t. j. jego teorie i poglądy dotyczące literatury.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

HYMN DO WODY

Matko życia, co jesteś odwieczną i młodą!
Soku zlecił Krwi, krynic tętnami bijącą!
Niepowstrzymana, ciągną wędrownico, wodo!

Ty, która kaskadami potoków tysiąca
Z gór, w dół, w łożyska, któreć ku morzu powiodą
Spadasz, niewyczerpana nigdy i szumiąca,

Czy cię kto słyszy, czy cię tylko wieczność słucha...
Królowno gór, łącząca z wysokiego proga
Nad zieleń lasów białą śnieżnego rańtucha!

Pani dolin, na których twa szeroka droga
Wiąże, niby ogniwa długiego łańcucha,
Tyle miast pozbieganych z wielkiego rozłoga.

Sława tobie! Ty, która w ciszy zbierasz siły,
Gnając wszystkie w zadumie niżami pomorza,
Między dziedziny, lasy, pola i mogiły

Aż do niezmiernego, stalowego morza,
Aby tam, na wyraju rzek w świat śpiący biły,
I grzmotami śmierć samą wypędzały z łoża!

Mgło siwa, podnosząca się z oparzeliska,
Ciemne jeziora, chyżo przez powietrze gnane!
Chmury rude, po których nawałnica błyska,

Chłostą deszczów rażące i rozgrzechotane
Gradami, które w gniewie Bóg na pola ciska!
Jakże słowy przy waszej wspaniałości stanę?

Przezroczyta jak woda wodo czysta do dna,
A mocna na świat cisnąć blachman nieprzebity,
Bez koloru będąca, a tęczami płodna,

Bez kształtu, a snująca przez ciemne błękity
O kształtach nieskończone sny, które noc chłodna
Zbiera i rosą rzuca na pogodne świty, —

Bywaj wodo! A ludziom o spuszczonej głowie,
Kiedy cię po ulewle ziemia tobą syła
Zatrzyma po kałużach i w przydrożnym rowie,

Pokaż otchłań, co w twojem zwierciadle odbiła!
Niech myśl podnosząc niską o niebiosach powie!—
Dusza cię moja głosem Izmaela wita!

Ty! która płaszczem śniegu otulasz sen ziemi,
Przed mrozami ratujesz młodą ozliminę,
Koisz oczy znużone czasy zielonemi,

A potem z pod kry szarą wypuszczasz ondyne,
Hukiem lodów, szumami roztopów pod niemi
Budzisz wiosnę, prac soki w różową wiklinę!

Twoja kropla w potopach równała doliny,
A stężała w lodowce pancierz globu ryła...
Dziś, łaskawa, chleb miele i kręci turbiny,

A tłokami świat cały wzdłuż i wszerz schodziła;
Ale gdy biją wielkie wieczności godziny,
Wstajesz poto, byś pamięć o wszystkim zabiła!

Oceanem bezbrzeżnym zalane narody
Czasem jeszcze z tajemną wyspą Wielkiej Nocy
Skamieniałe olbrzymy wyłaniają z wody...

Świadkowie oniemiałi i szerokoocy
Ciemnych głębin, do których niesięgną niewody,
A które jakaś straszna siła trzyma w mocy...

Nad niemi szafirowa toń i wyiskrzona
Jakoby tysiącami klejnotów Irydy,
W pełnem słońcu, beztroska — żywa — roztańczona —

Rozśpiewana w heksametr fal, w plusków kassydy,
Gdzieś w Grecji rodzi Miłość z wezbranego łona;
Krzyk życia zatopionych ludów Atlantydy!

O wodo, matko życia i śmierci! — Choć pewno
I nas kiedyś letejskie fale zalać muszą,
Dziś nas ty, wodospadów wysoka królowno

Ucz szumieć... nieodmienną, niezmięconą duszą!

Medyka

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

LIBERUM VETO

Skutki wielkiego wstrząśnienia. — „Wyzwólmy siebie i świat“.—
Cierpienie powszechne. — Pożądanym mesjasz.

OSTATNIA straszna w swych rozmiarach i natężeniu wojna zrodziła nie tylko skutki polityczne i ekonomiczne wielkiej wagi, ale dla przyszłości ważniejsze od nich moralne. Potężnym wstrząśnieniem wydobyła na wierzch głęboko ukryte nurty myśli, uczuć i dążeń, które przepływały pod starą budową świata i wsiąkały w jego podwaliny. Nastąpiło wyzwolenie skrępowanych sił, uświadomienie pobudek, większe napięcie pragnień. Przez cały ciąg rozwoju kultury europejskiej przetrwał a nawet wzrósł nieproporcjonalny stosunek ludzi szczęśliwych do nieszczęśliwych: podczas gdy pierwsi stanowili nieliczną gromadkę, drudzy ogromną masę. Wojna dokonała wielu zmian w układzie międzynarodowym, rozbiła lub osłabiła jedne państwa, stworzyła lub wzmocniła inne, ale zachowała dawne formy i warunki ich życia, zmieniła rozkład sił politycznych, ale pozostawiła w poprzedniej postaci społeczne. Europa obecna, jak przedwojenna, straciwszy miliony ludzi i miliony bogactw, żyje dalej w regułach nieszczęścia i wyjątkach szczęścia. Jednakże coraz wyraźniej, głośniejszy i gwałtowniej domaga się radykalnej zmiany w tym stosunku.

Zgodnie z nim przechowujemy stare kategorie myślenia, nadając wartość i znaczenie tym sprawom i zagadnieniom, którym życie ustawicznie zmniejsza wagę. Organy opinii publicznej ciągle wysuwają na pierwszy plan traktaty, gry i krętaństwa dyplomatyczne, sojusze, uzbrojenia morskie i lądowe, wogóle zajmują się atletyką międzypaństwową, a lekceważą nastroje, potrzeby, pragnienia i żądania mas społecznych. I my tkwimy w tych starych pojęciach tak głęboko, że głosy ostrzegawcze i rozjaśniające ciemnię naszego wnętrza społecznego przebrzmiewają bez echa. W głuchą też puszcę wpadnie głos p. Laudyn Chrzanowskiej, wołający w tytule broszury „Wyzwólmy siebie i świat“. Z pewnością nie zasłuży ona w prasie na takie zaznaczenie, jak najblahsza farsa przedstawiona w teatrze. Ja jednak zajmę nią wagę czytelników.

„Czuje człowiek — mówi autorka — niemoc bolesną w sobie i ciemność, zgęszczającą się i tłoczącą go zewsząd. Widzi górę błyszczącą nagromadzonych bogactw, złota, dobrobytu, posiadania, dokoła której rozbijają się istoty ludzkie cierpiące, zbuntowane, gnane chciwością, żądzą wydarcia ich innym. Miał szczęścia, po trudzie wieków i dźwignięciu gmachu cywilizacji płyną rzeki krwi, piętrzą się nienawiście, uderzają na siebie Kainowe zastępy, unoszą się opary tej zbrodni, klęsk w rozmiarach dotąd nieznanych, a całe powietrze życia zatrute jest cierpieniem, bólem, szaleństwem rosnącym. Chwieje się wielki gmach cywilizacji, dźwigany mozołem i ofiarą długich pokoleń, w których stopniowo rosło odchylenie od prawa, a człowiek-duch zatracił swą ideę i posłannictwo wieczne, stając się niewolnikiem i sługą fetyszów, własną ręką dźwiganych. Zgięty przed bałwanami złota i użyć, które przestąpiły mu wszystkie prawa moralne, ich piękno i dostojęństwo, stał się czcicielem siły, przemocy i krzywdy. Złoto i kłamny frazes stały się panami świata, jedno i drugie nadużyte, hańbione, niosące w stosunki ludzkie nieokiełzaną demoralizację... Barbarzyńskie hordy niszczycieli zaorywać pragną śmiertelnym pługiem cały olbrzymi wysiłek wieków i równać cywilizację pod jeden obszar pustki, ruiny, zbrodni i zdziczenia. Ludzkość stoi oniemiała i patrzy... Masy upośledzone wierzą, że czynić sprawiedliwość,

budować prawo może nóż i miecz; zastępy uprzywielejonane mniemają, że jakiś sprzeciw zdolny jest powstrzymać narodziny rzeczy dojrzałych, gotowych już w ludzkiej myśli i woli... Okłamujemy co najświętsze w sobie, w życiu i dokoła siebie. Wygnaliśmy wszelką szczerłość ze stosunków... Herbem świata stało się dziś kłamstwo“...

Przed światem chrześcijańskim stanęło pytanie: być, albo nie być: „Zapada się twórca nauka miłości człowieka - brata, niesiona na sztandarze chrześcijaństwa; zostaje filozofja nienawiści, gwałtu, krwi i porywa ciemne, obolałe masy swą pozorną racją, nadzieją zadośćuczynienia krzywdom starym, naprawy życia, dania szczęśliwości cierpiącym... Oszołomiony swą potęgą, wolnością i bogactwem świata widzialnego człowiek chwytając te bogactwa, zanurza się w nie, usiłuje namiętnie gromadzić nie tylko dla siebie, ale przekazuje potomstwu, oddaje bliskim krewnym, tworząc w ten sposób przez wieki szeregi posiadaczy bez pracy i zasługi, bez znoju i dorobku własnego. Warstwy te, ubłogosławione używaniem i własnością bezprawną, zaczynają wkrótce widzieć godność i cnotę w przywileju bezczynności... Stoją przed nami dwa światy żywe, w to samo ciało ubrane, a tak różne, mówiąc każde innym językiem uczuć i myśli. Cechą jednego jest ciągle dawanie, tworzenie dóbr wszelakich, cechą drugiego nieustające branie i używanie dóbr nagromadzonych... Walczące armje, uruchomione do mordów, nie są w stanie wyrwać posiewu nienawiści i rozjrznięcia z piersi budzących się mas ludzkich. Za wrogiem wymordowanym przyjdą znów masy odhodowane, dyszące zemstą, żądzą krwi i znów będą niszczyć, trącać w furji obłądnej, wietząc, że w ten sposób porządek czynią“.

Autorka, która długo przebywała w Stanach Zjednoczonych, gdzie redagowała dziennik polski, widzi tam powstawanie ludzi innych; umiejących gromadzić olbrzymie majątki i ofiarować je na użytek społeczny. Tam nie wytworzył się jeszcze długi łańcuch dziedziczenia bez pracy. Słynny fundator wielkich instytucyj Carnegie, który z chłopca rozwodziela wyrósł na milionera, powiedział przy końcu swego życia: „Doszedłem do przekonania, że hańbą jest umierać bogatym“. Podobny mu Rockefeller młodszy oświadczył publicznie, „Zazdroszczę mojemu ojcu konieczności torowania sobie drogi własnymi siłami“. A takich tytanów pracy, posiadaczy gór złota i wspaniałomyślnych dobroczyńców jest w Ameryce szereg długi, wobec których europejscy łapigrosze, lichwiarze i skąpcy są gromadą karłów. Z wyjątkowo pięknej treścią i formą broszury pani Laudyn Chrzanowskiej wysnuwa się następująca hipoteza: Dla ludzi nieoślepionych blaskami obecnej kultury świata i dostrzegających pod nią groźne cienie, nie ulega wątpieniu, że obecna konstrukcja moralna ludzkości, powierzchownie schrystjanizowanej, długo trwać nie może. Nie zdołają powstrzymać jej ruiny wszystkie z kłamstwa wyciosane podpory polityczne, gaszenie pożarów rewolucyjnych i zasypywanie wyrw pod fundamentami. Również jest pewne, że socjalistyczni architekci społeczni, obiecujący przebudować świat według swoich planów, nie zdołają się na nic więcej po za krytyką obecnego ustroju i do przetworzenia go są niezdolni. Być może, iż to przetworzenie dokona się drogą długiego i powolnego rozwoju życia mas ludzkich, ale nie jest też wyłączona możliwość przyspieszenia go wpływem jakiegoś mesjasza. Ludzkość potrzebuje nie wzmocnienia i umiejętnego zastosowania dotychczasowych środków energii prowadzącej i rządzącej, ale nowej moralności, która zdołałaby zniszczyć wszystko, co w życiu świata

jest niepotrzebnym złem i stworzyć to, co jest dla niego koniecznym dobrem. Po Metternichach, Bismarckach i innych niezliczonych szachrajach dyplomatycznych, po Marksie, który uczył buntu, po Leninie, który uczył mordy, po wszystkich mniejszych apostołach nienawiści, zemsty i gwałtu, po bandytach, kradnących ziemię i narody, po oszustach i tyranach przyjść musi człowiek lub ludzie, którzy ogłoszą znękanemu światu nową ewangelję braterstwa i moralności, będącą wypełnieniem nauki Chrystusa. Śmiejecie się z tej mrzonki? Nie szkodzi. Przypomnijcie sobie, że tak samo się śmieli Żydzi i Rzymianie przed Chrystusem. Nie wróżę, że taki mesjasz objawi się w Polsce, która obecnie rodzi obficie pokraki polityczne, bezkarnych morderców, uprzywilejowanych hulaków, „sanatorów“, furjatów rewolucyjnych, komunistów, marjawitów i tem podobne gatunki, ale nie zdziwiłbym się, gdyby on powstał między nami. Jesteśmy przecież zdolni do mesjanizmu, nawet bardziej, niż do rozsądku praktycznego.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

G Ł O S Y

O EKSPANSJĘ WIELKOPOLSKĄ

NIEDAWNO w artykule „Wiara w życie“ (Nr. 23 „Myśli Narodowej“ z r. b.) pisaliśmy:

„Miarą poziomu obowiązującego jest dla nas Wielkopolska, pomimo że nie słynie ze splendorów sztuki i literatury. Tam już dawniej i gruntowniej dokonano się unowocześnienie społeczeństwa. Dokonało się w bardzo ciężkich warunkach, kiedy nie mogło być mowy o nadbudowaniu luksusowych szczybli cywilizacji. Ale czy przez to Poznańskie jest mniej wartościowe cywilizacyjnie od Warszawy i wschodu polskiego, które te szczyble miały, a pozostawały w bierności społecznej? Tak nie jest. Na długie lata Poznańskie będzie dla nas poziomem, który zdobywać będziemy mozolną pracą, żeby się wyrównać.

Nie tu miejsce na wywód, jak nasze ziemie zachodnie ocalały starą polską cywilizację i jednocześnie się unowocześniły. Dość stwierdzić fakt, że zawdzięczają to wytworzeniu mieszczaństwa i dobrobytu. Mają dziś one miasta polskie. W innych dzielnicach Polski trzeba dopiero dojść do tego szczybla. Póki się do tego nie dojdzie, centrum moralnym Polski pozostanie Poznań, a Warszawa będzie tylko stolicą oficjalną.

Chodzi tutaj o rewizję popularnych w świecie inteligencji wielkomięskiej kryterjów cywilizacji. Kryterja te są często dziecinne i lekkomyślne, bo nie oparte na wierze w życie. Tracimy miarę rzeczywistości, jeśli przestaniemy orientować się w instynktach życia narodowego. Fałszywi prorocy uczą nas umyślnie wiary w jakąś magię doktryny i dowolnych haseł. Tymczasem niema myśli twórczej bez oparcia o głuchą pozornie podświadomość instynktów historycznych. Poznańskie, czy Śląsk są niezawodne dla Polski nie dlatego, że napisały tyle a tyle powieści i poezji, lecz że w potrzebie wiedzą, co robić. Powstanie — to powstanie, wystawę — to wystawę. Wiedziały z instynktu, jak tworzyć miasta, jak oprzeć się Niemcom, jak oprzeć się Żydom i jak pracować. Tam w instynktach, wytworzonych tysiącletnią kulturą, była już myśl o Polsce całej i mocnej, ta sama myśl, która dawniej dawał z siebie Chrobry“.

Stolicę Polski zalało żydostwo. W chwilach przesilenia, jak teraz, cechujących się upadkiem moralności publicznej, ster w takiej błotnistej wodzie źle funkcjonuje. Jest czas spojrzeć, co nam grozi. Steru czepiają się obce żywioły, Warszawa zawodzi. Patrjoci z wyrzutem zwracali myśl ku Wielkopolsce, że nie próbują swych wpływów rozszerzać na kraj cały. Wymaga tego choćby sprawa spolszczenia naszego handlu. Wysława powszechna obudziła myśl narodową. Oto teraz, jakby w odpowiedzi na nasze poglądy, odezwał się z Poznania głos człowieka świątłego, który świe-

zem okiem spojrzął na stosunki. Przytaczamy go w całości za „Kurjerem Poznańskim“ (nr. 365). Jest to artykuł docenta antropologii uniwersytetu poznańskiego dra Karola Stojanowskiego p. t. „W sprawie spolszczenia stolicy“:

Niejednego z czytelników zafrapuje sam tytuł artykułu. Niestety jednakże tak jest. Stolica Polski nie jest miastem zupełnie polskiem. Miljonowe to administracyjne, gospodarcze i kulturalne centrum współczesnej Polski liczy około 33 proc. Żydów. Procent ów, przeliczony na liczby bezwzględne, stanowi imponującą cyfrę, od 310 do 340 tysięcy ludności żydowskiej. Celem dokładnego zdania sprawy z wagi warszawskiego skupienia Żydów, należy sobie uzmysłowić, że poza Warszawą i Łodzią niema w Polsce wogóle większego skupienia miejskiego, jak warszawskie ghetto żydowskie. Jest ono mniej więcej o 50 proc. większe, jak Lwów, Poznań, Kraków i Wilno, a trzy razy tak duże, jak Lublin, Bydgoszcz, Katowice. Jeśli się przytem weźmie pod uwagę, że ta wielka masa żydowska dzięki swemu bogactwu, sprytowi, religijno-narodowej konsolidacji i silnej organizacji o wiele więcej znaczy, aniżeli się to jej z procentowej ilości należy, będziemy mieć jasny obraz sytuacji. Obraz ten jaskrawo uwydatnia przepojenie stolicy obcym i wrogim elementem, który, jak olbrzymi polip, oplótnił ją swemi mackami.

Jest to wprawdzie w byłym zaborze rosyjskim i austriackim regułą, że miasta stanowią domenę żydowską. Łódź np. ma ponad 34 proc. Żydów. Mimo to jednakże warszawskie skupienie żydowskie jest specjalnie niebezpieczne. Przecież w Warszawie jest centrum administracyjno-państwowe Polski. Tam z natury rzeczy muszą wykuwać się ustawy państwowe, kierunek i nastawienie polskiej polityki. Warszawa ma jako największe w Polsce miejskie skupienie potężny, bo ogólnopństwowy i ogólnonarodowy zasięg. Żydzi zaś warszawscy mogą na te wszystkie momenty oddziaływać, odchylając je w kierunku swego interesu i w kierunku swego ducha. Nic tedy dziwnego, że w umysłach żydowskich koncepcja Judeo-polonji ma taki oddźwięk. Jak trudnem w takich warunkach byłoby położenie stolicy w czasie wojny, albo bolszewickiej rewolty, zrozumie nawet każdy słabo orientujący się w zagadnieniach społecznych.

Tego rodzaju warunki demograficzne, panujące w stolicy, zmuszają naród polski albo do przeniesienia stolicy do innego miasta, albo też do spolszczenia Warszawy t. j. do wyciśnięcia stamtąd Żydów. Teoretycznie pierwsze rozwiązanie jest możliwe, zwłaszcza odkąd Polacy zrealizowali myśl własnego portu w Gdyni. W danych jednakże warunkach Warszawa musi być stolicą Polski z racji swego położenia. Leży ona bowiem na skrzyżowaniu ważnych dróg komunikacyjnych, łączących wschód i zachód oraz północ i południe Europy. Poza tem oddziaływanie jej jest potrzebne dla wzmożenia natężenia polskości zarówno na kresach północnych, jako też wschodnich. Oddziaływanie miljonowego zbiorowiska miejskiego posiadać będzie dużą siłę polonizującą. Warszawę trzeba tedy spolszczyć.

Proces polszczenia stolicy odbywać się będzie częściowo przynajmniej na drodze naturalnej. Droga ta, to selekcja, powodowana życiem miejskiem. Dzisiejsze życie wielkomięskie niszczy o wiele prędzej pogłowie ludzkie, aniżeli życie wiejskie. Konsekwencją niszczenia przez miasto jego ludności jest przy-

ciąganie tam świeżych elementów ludzkich z okolic wielkiego miasta. Zgromadzeni zatem w Warszawie Żydzi będą powoli wymierali, a na ich miejsce będzie ściągająca do miast ludność z otaczającego Mazowsza i innych dzielnic. W długim tym procesie element polski ma szansę ciągłego postępowego wypierania Żydów.

Naturalny ten proces ciągnąć się jednakże będzie zbyt powolnie, aby mógł sam przez się zaważyć w niedługim czasie na życiu narodowo-państwowem. Hamować go będzie niejednakowy stopień przystosowania elementu żydowskiego i polskiego do współczesnego życia wielkomiejskiego. Żydzi przez długi jeszcze czas będą górowali bogactwem, organizacją, międzynarodowym poparciem nad surowym materiałem polskim. Wobec tego należałoby stworzyć warunki przyspieszające proces wyrzucenia Żydów z Warszawy. Chodzi tu o warunki natury społeczno-politycznej t. zn. o specjalne nastawienie opinii tak stołecznej, jak też prowincjonalnej. W pierwszym rządzie trzeba będzie nawrócić do bojkotu handlu żydowskiego przez Polaków, stosowanego w Kongresówce z wielkim powodzeniem przed wojną.

Jednakże trzeba sobie zdać z tego sprawę, że walka z Żydami o polskość Warszawy, prowadzona jedynie siłami miejscowymi, nawet przy najlepszym zorganizowaniu i poparciu przez opinię, byłaby bardzo długa. Trzeba będzie przyjść walczącym Mazurom z pomocą, do której obecnie w najbliższym czasie predysponowani są jedynie Wielkopolanie z poznańczykami na czele. Niedaleką jest bowiem chwila, kiedy Wielkopolska będzie za małą podstawą do życia i pracy dla jej mieszkańców. Już obecnie daje się zauważyć, może jeszcze słabo, przeludnienie miast Wielkopolski, zwłaszcza w dziedzinie handlu. Za lat kilka będziemy obserwowali już przeludnienie w sferze inteligencji. Ten nadmiar sił z Wielkopolski będzie musiał emigrować. Ze wszech miar byłoby wskazaniem, aby nadwyżka ludzka z Wielkopolski została umieszczona w kraju, a nie musiała emigrować zagranicę. Tam należy skierować elementy mniejszościowe oraz Polaków mniej zaawansowanych w kulturze. Istnieje wprawdzie w społeczeństwie wielkopolskim tendencja zdobywania najpierw miast przyległych Wielkopolsce. Nie jest ona jednakże sprzeczna z hasłem przezemnie wysuwaniem. Emigracja Wielkopolan do Warszawy jest o tyle realną, że ostatecznie warszawskie stosunki są w Polsce może najbardziej odpowiednie dla Wielkopolan. Nawet nieliczna kolonia wielkopolska odegrałaby w Warszawie stosunkowo wielką rolę, organizując tam przeciwżydowski front gospodarczy.

Oczywiście, aby rolę podobną bodaj częściowo odegrać, musi się rozporządzać specjalną organizacją. Organizacja musiałaby dysponować zarówno pewnymi środkami w Poznaniu, jak też i w Warszawie, a miałaby na celu dostarczenie pomocy kolonji wielkopolskiej w Warszawie. Dobrzeby było oprzeć całą akcję na momencie raczej ekonomicznym aniżeli społeczno-politycznym. Gdyby organizatorowie wystawy zechcieli użyć do powyższego celu swoje doświadczenie i autorytet, to akcja miałaby szansę niedalekiej realizacji.

Przy dyskusji tego projektu trzeba mieć na uwadze, że odpowiednio silna kolonia wielkopolska w Warszawie będzie w każdym razie decydować o odpowiednim udziale Wielkopolan w rządach państwowych.

KAROL STOJANOWSKI

PODKOPY ŻYDOWSKIE

W NIEMCZECH wyszła broszura, będąca zestawieniem faktów, świadczących o wzroście w Niemczech ateizmu i komunizmu. I tak: powtarzają się publiczne manifestacje młodzieży, połączone ze znieważaniem krzyżów i pomników poległych: w Lipsku — Sellerhausen spalono w roku ubiegłym wielki krzyż na stosie przy radosnych okrzykach uczestników, związki wolnomyslicieli urządzają pochody, w których idą członkowie, przebrani za skarykaturowanych księży katolickich, protestanckich pastorów i rabinów. Jednocześnie Żyd, lekarz Hirschfeld, wygłasza wobec 400 uczniów, w wieku począwszy od 12 lat, zasady, że wolne związki dwóch płci nie są ani grzechem ani rzeczą zdrożną. Nauczycielki, zebrane we wrześniu 1928 r. na kongresie w Norymberdze, wypowiedziały się za zaprowadzeniem w Niemczech systemu świeckiego; zorganizowano obóz wakacyjny dla 5000 dzieci, zarządzany przez komunę sowiecką, głosząc otwarcie zasady wychowywania młodzieży „na bojowników klasowych, którzy zburzą kiedyś zmartwiałe dzisiejsze państwo”. Obóz młodzieży zorganizowany koło Chemnitz nosił nazwę rosyjską „*Woroszyłow*”. Młodzież uczono robić bronią oraz metod walki ulicznej.

Jak wiadomo, komuniści w Bawarii postawili wniosek o oddzielenie Kościoła od państwa, zniesienie konkordatu i zniesienie nauki religii w szkołach.

Broszura, której zasługą jest zebranie licznych faktów tego rodzaju, nosi tytuł „*Wenn beginnt bei uns die Blutherrschaft Satans*”, nakład Martinusbuchhandlung, Bayern.

2. W Moskwie odbył się kongres 800 delegatów Stowarzyszeń Ateistów. Na kongresie wygłoszone zostały słowa: „Istnieją miliony wierzących, a tylko kilka ośrodków ateizmu, ale wyrwiemy z korzeniem religię i zniszczymy jej wpływ”.

3. „*Frankfurter Zeitung*” podała kilka miesięcy temu wiadomość o jeszcze jednej próbie tworzenia międzynarodowej organizacji masońskiej: jest nią Międzynarodowa Liga Masońska (*Ligue Maç. Internationale*, *L. M. I.*, której nie należy mieszać z *A. M. I.*, *Association Maç. Internationale*). Nowa Liga odbyła pierwszy kongres w 1927 r. w Bazylei, drugi w 1928 r. w Wiedniu. W tym ostatnim brało udział 450 delegatów różnych krajów, przyczem interesujące były tematy przemówień, wygłoszonych na kongresie. Prof. Kraft z Monachjum wygłosił wprawdzie odczyt na temat, obowiązujący w lożach i należący do stałego programu, o zbliżeniu między Francją a Niemcami, poza tem jednak dwa odczyty, przewodniczącego kongresu, Zilcherta, duchownego z Pragi, oraz Wielkiego Mistrza Wielkiej Łoży Wiedeńskiej poświęcone były uczuciom narodowym; wreszcie zajmowano się sprawą stosunku do Kościoła Katolickiego, przyczem z przemówień wynikałoby, że istnieją jakoby wśród duchowieństwa katolickiego prądy, pragnące zbliżenia do masonerji. „*Frankf. Zeitg.*” zaznacza, że chodziłoby tu nie zbliżenia w sprawach, dotyczących religii, na tym gruncie bowiem o porozumieniu sfer katolickich z masonerją nie może być mowy, ale o pewne porozumienia w działalności politycznej. Gazeta Frankfurcka wspomina szereg artykułów, jak ojca Goubera w „*Neues Reich*”, ojca Muckermanna w „*Neue Freie Presse*”, Enrico Rosa w „*Civiltà Cattolica*”, Mac'ego i Giercasa w „*Sontagsblatt*”, piśmie katolickim Bremy, które jakoby świadczyć miałyby o prawdzie powyższego twierdzenia.

4. W Monachjum skazano na dożywotne więzienie niejakiego Maksa Hölza za dążenie do wywołania rewolucji komunistycznej. Na czele komitetu, który zawiązał się w celu dokonania rewizji procesu i uwolnienia skazanego, stanął znany uczyony Einstein.

Paryż

MACIEJ WIERZBINA

WYCHOWANIE NARODOWE

NAUKA JEST W POLSCE BEZPŁATNA

KIEDY człowiek uczy w szkole średniej, pozna programy, wskazówki, okólniki, przeczyta zachwalane rozprawy, broszury, artykuły, posłucha zaleceń, wyjaśnień i nakazów ustnych ze strony przedstawicieli władzy, a równocześnie przypatrzy się stosunkom, praktyce życia w kilkunastu zakładach, zbada myśli i pragnienia uczniów, dowie się opinii rodziców i wogóle dorosłej części społeczeństwa — wtenczas, gdy przyjdą ferie i uwolnienie od absorbujących codziennych zajęć, musi zadać sobie pytanie: jaki jest istotny cel szkoły średniej? Papiery urzędowe mówią co innego, rozprawy pedagogiczne co innego, dorywczy znawcy i krytycy co innego, a życie wytwarza jeszcze inną praktykę rzeczywistości. Chaos zaś jest tak wielki, iż trudno go podzielić na składniki i należyce przedstawić tak, aby ludzie dobrej woli zrozumieli braki i zgodzili się na pewne wspólne wytyczne.

Ponieważ jednak od wychowania publicznego zależy przyszłe pokolenie, a więc i los państwa, sprawa ta powinna zainteresować nie tylko nauczycieli i rodziców, co już jest wiele, ale wszystkich obywateli.

Zacznijmy od ustaw. Konstytucją mówi, że nauka w szkołach polskich jest bezpłatna. Nie słyszałem również o żadnym projekcie zmiany konstytucji, któryby przewidywał usunięcie lub zmianę tego postanowienia. Należy zatem przypuszczać, że bez względu na to, czy dotychczasowa konstytucja utrzyma się lub zostanie zmieniona na inną, ten jeden przepis ma wszelkie warunki trwałego utrzymania się.

A przecież wszyscy wiedzą, że uczniowie szkół średnich państwowych są pociągani do rozmaitych opłat, że zalegających usuwa się ze szkoły itd. Dlaczego samo założenie, na którym odbywa się pobieranie nauki publicznej, musi być złośliwym kłamstwem? Dlaczego wstęp do świątyni nauki, gdzie ma się hodować elita społeczeństwa, musi zaczynać się od urągliwego fałszu?

Jednym z największych powodów oświecenia i upadku Rzeczypospolitej starszszlacheckiej była stateczna niezgodność rzeczywistego życia z hasłami, prawem pisaniem i publicznie oświadczeniami. Nowa Polska, już nie szlachecka, lecz demokratyczna, nie ma nic pilniejszego nad nawiązanie do tej zgubnej tradycji i zaczyna oświatę, czyli urabianie duszy nowego pokolenia od kłamstwa, czyli pustej deklamacji na pokaz, na popis, na błagę. Tą drogą nie kształci się charakterów.

Przeszedłem szkoły austriackie. Tam nie było mowy o bezpłatnej nauce. W gimnazjach obowiązywała opłata, zwana *didactrum*, którą się składało co półrocze. Wynosiło to za moich czasów 7, potem 10, w końcu 15 guldenów za półrocze. Opłatę składało się w urzędzie podatkowym, czyli dzisiejszej Kasie skarbowej, bo to była opłata rządowa. Dyrektor nie był administratorem finansowym, ani egzekutorem podatku, tylko pedagogiem i kierownikiem zakładu wychowawczego.

Uczeń ubogi, który się odznaczał i pilnością i dobrem zachowaniem się, mógł być uwolniony od opłaty szkolnej. Tę decyzję rząd zostawiał dyskrekcji gron nau-

czyielskich, które regularnie uwalniały wszystkich uczniów, mających ustawowe warunki. Prawo jasne, dla każdego zrozumiałe i dostępne uregulowało tę sprawę raz na zawsze, a posiedzenia grom nauczycielskich odbywały się tylko w celu stwierdzenia, kto z uczniów posiada ustawowe warunki do uwolnienia. Rodzice ubogich uczniów i sami uczniowie wiedzieli, że od nich tylko zależy, czy będą płacić czy nie, i dlatego mnóstwo biedoty szło do tych szkół, gdzie nauka była płatna, z tą ufnością, że potrafią je ukończyć bez żadnych kosztów. Ja byłem chłopcem ubogim, a przecież skończyłem gimnazjum, nie zapłaciwszy rządowi ani grosza. I gdyby trzeba było cokolwiek płacić, nie byłbym mógł chodzić do szkoły.

U nas tymczasem ustawa mówi, że nauka jest bezpłatna, a przepisy każą płacić za uczniów. Ile? Nigdzie tego nie powiedziano. Dyrektor, jako rządca przedsiębiorstwa (nie pedagog, bo na to żaden dyrektor nie ma czasu) układa razem z gromem nauczycielskim i stosownie do poleceń kuratorjum budżet tego przedsiębiorstwa, zwanego szkołą średnią, a potem rozkłada podatek na uczniów od 40 do 100 złotych półrocznie na głowę. Jest to repartycja podatku, której rodzice nie mogą przewidzieć, czyli zawsze żyją w niepokoju przed niespodziankami i zaskoczeniami.

Prawda! Są uwolnienia od opłaty i w naszych w szkołach. Stosownie do zapotrzebowania Kuratorjum oznacza procentowo, ilu uczniów może być uwolnionych od całej opłaty, a ilu od połowy. Dyrektor znowu rachuje, ile to daje w konkretnych cyfrach na całą szkołę, stosownie do liczby zapisanych, a potem rozkłada te cyfry np. 46 i 92 na poszczególne klasy. Wychodzą z tego osobliwe dziwłagi. Zdarza się, że w pewnej klasie, albo w pewnym zakładzie znajdzie się szczególnie wysoka liczba uczniów pod każdym względem dobrych; czasami jest ich dwa razy więcej, niż dopuszczalna liczba do uwolnienia. I wtedy uczniowie, mający kilka not dostatecznych nie bywają uwolnieni od opłaty, ażeby nie przekroczyć dozwolonego kontyngentu. Ale bywa i odwrotnie: klasy i zakłady miewają przeważnie uczniów miernych lub słabych. Wtedy znowu uczniowie, mający jedną notę niedostateczną, bywają uwolnieni od całej opłaty, a od połowy nawet tacy, którzy miewają po dwie noty niedostateczne.

Jak to wpływa na psychologię ucznia? Bardzo źle. Uczeń na progu życia nabiera już przekonania, że nie praca, pilność, staranność, jednym słowem nie zasługa osobista uwalnia go od ponoszenia ciężarów, lecz traf, przypadek, los szczęścia. „*Ne rodysia krasnym, ale szczasnym*“, czyli „lepszy tuł szczęścia, niż centnar rozumu“ staje się pierwszą zasadą życia, nabytą w szkole. A to liczenie na los, na szczęście, na przypadek, na loterję, na protekcję, na łaskę, a nie na własną pracę i zasługę jest największą wadą naszego narodowego charakteru.

Skarżą się myśliciele i publicyści na brak charakterów, na nikczemność ludzi u nas, na karierowiczostwo i chwytanie się wszystkiego, co może zapewnić kawałek chleba, a tymczasem wszystkie te żale i utyskiwania nic nie pomogą. Kazania nie wystarczą. Na fałszu oparta szkoła nie może hodować innych charakterów, tylko bezmyślnie, nieszczerze, pozbawione własnej godności i poszanowania siebie i drugich, skoro nie zdatność, praca i zasługa, ale przypadek zapewnia powodzenie w uczelni.

Szkoły ratują się jak mogą. Tam, gdzie większa liczba niż pozwala kontyngent, zasługuje na uwolnienie od opłat, dyrekcje zwracają się do magistratu, sejmiku, do zebrań rodzicielskich o pomoc. Bywają wypadki, gdzie zawiązywały się komitety, zbierające pieniądze na opłaty

za uczniów. Są to wszystko bardzo piękne w intencji, bardzo humanitarne poczynania — ale mają jeden wielki błąd wychowawczy: są jałmużną. Nie wiem, jak się dziś ludzie na to zapatrują — ale pamiętam, że kiedy byłem w V klasie gimnazjalnej jako czternastoletni chłopiec i ofiarowano mi bezpłatne miejsce w bursie, nie przyjąłem i odczułem ofertę jako poniżenie, bo nie chciałem z litości i jałmużny korzystać, skoro mogłem korepetycjami zarobić na utrzymanie. Sądzę, że w niedojrzałym człowieku taka duma jest na miejscu. Tylko człowiek, posiadający poczucie własnej godności, potrafi uszanować godność bliźniego — a to ułatwia gromadne współzycie w społeczeństwie.

Dziś czasy się zmieniają. Znam wypadek z jednym uczniem VIII klasy, który nawykawszy do datków ze strony komitetu dobroczynnego, nie chciał przyjmować korepetycji, bo uważał, że miłośnierni głupcy powinni go utrzymywać. Kiedy mu sprawiono nowy mundur, zniszczył go zaraz w magazynach kolejowych, a na zwróconą przez kolejarzy uwagę, że powinien nowy mundur szanować, odpowiedział: „To mi kupią drugi”.

A więc jałmużny i składki, nieumiejętnie stosowane, wytwarzają pasorzytów. Dziś i bez tego za wielu ludzi chce żyć na koszt państwa, magistratu, kasy społeczeństwa. Jeżeli szkoła przez wadliwe i kłamliwe urządzenia kształcić będzie w ten sposób charaktery tych, którzy zostaną powołani do kierownictwa, nadawania tonu i myśli, to o przyszłości naszej trzeba będzie zwątpić.

JAN ZAMORSKI

NAUKA I LITERATURA

Z PRZEKŁADÓW

NIEZWYKŁĄ oryginalnością formy i tematu wyróżniają się na tle francuskiej literatury romantycznej utwory poety Gerarda de Nerval, których zbiór p. t. „Aurelja i inne opowiadania”, w przekładzie Leona Choromańskiego, wydało Wydawnictwo „Maska” w Warszawie. Na wstępie tłumacz podaje analizę poetyckiej fantazji poety i charakterystykę jego dziwaczego i podobnie jak jego utwory fantastycznego sposobu życia. Na pewne analogie można natrafić w życiu naszych poetów i artystów. Zawsze w nędzy, jak gdyby z zamiłowania do niej, „kiedy nie miał (pieniędzy) — pożyczął, kiedy miał — rozdawał”. Kubek w kubek jak Stanisław Przybyszewski w okresie Młodej Polski. W ubieraniu się nie zważał na temperaturę czy konwenanse. Chodził w mróz bez palta, a za to w dwóch koszulach. Coś tak jak Kazimierz Tetmajer, gdy na wycieczkach w Tatry donoszał stare ubranie frakowe. A nawet w zwracającym uwagę koncepcie oprowadzania po bulwarach Paryża homara na wstążeczce, który to koncept w innej metamorfozie upamiętnił w Warszawie artysta malarz Witkowski, wiodąc za sobą po ulicy na sznurku, jak psa na smyczy, indyczkę. Ileż by to wogóle w naszej neoromantycznej erze można wylczyć takich wprost nieprawdopodobnych epizodów! Do dziś tradycję dziwactw artystów podtrzymuje malarzka Olga Boznańska, hodując w swem paryskim mieszkaniu chmary oswojonych myszy.

Naturalnie, nie w tem rzecz. Sposób życia artystów i ich figle pozostają w bardzo luźnym, jeśli nie w żadnym stosunku, do rodzaju i stopnia ich talentu. Jednak u Nerval w nieskoordynowanych z sobą przejawach jego wyobraźni, w wyobraźni „rozżarzonej do białości”, zdarzały się tak drastyczne katastrofy, takie odchylenia równowagi myślowej, że poeta, przez życzliwą mu opiekę przyjaciół, umieszczany bywał kilkakrotnie w lecznicach dla nerwo-

wo chorych. Mimo to utwory jego z tych czasów, a mniej więcej stale przebywał między przytułkiem ubogich a szpitalem, mają zawsze sens artystyczny i tę siłę przekonania i sugestji, jakie daje twórcze natchnienie. Beznadziejnie bezradny wobec praw życia, chronił się w świat urojony, podobnie jak bohater Cervantesa w uroki teatru swej fantazji.

Tłumacz Fausta i wielu poezyj Helnego, wielbiciel nauk okultystycznych i Napoleona, tkliwy liryk, stroił przejawy otaczającej go codzienności w egzotyczne barwy i blaski. Liczna spuścizna literacka Gerarda de Nerval jest przeważnie fragmentaryczną. Ze skryptów poematów, dramatów, nowel ocalały przeważnie ułamki, bowiem w ciągłych wólczechach, przesiadując po szynkowniach, nie dbał o całość i utrwalenie swych przygodnie skreślonych utworów, aż po wieloletniej tułaczce zmarł pewnej zimowej nocy śmiercią samobójczą pod progiem noclegowego przytułku.

Sprzeczności jego umysłu, którego wysoce interesującym wyrazem jest „Aurelja”, określił Teofil Gauthier słowami „rozum, spisujący to, co dyktuje obłąkanie”, „halucynacja, analizująca sama siebie za najwyższym wysiłkiem filozoficznym”. Prócz Teofila Gauthiera wielu pisało o Gerardzie de Nerval, jednakże twórczość jego pozostała po dziś dziwnem i czarującym zagadnieniem, cenną pamiątką epoki, dla której chimery snu były rzeczywistością.

ANTONI WYSOCKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W księgarni uniwersyteckiej Janowskiego w Poznaniu wyszło bardzo ciekawe studium literackie *Czesława Latawa* p. t. „Dziady Adama Mickiewicza. Nowe oświetlenie problemów”. (Str. 136). Autor wyjaśnia pochodzenie mistycznego widzenia świata w „Dziadach” wpływem uprawianego za czasów Mickiewicza magnetyzmu i nauki Mesmera, upowszechnianej przez „Pamiętnik Magnetyczny” Lachnickiego. Zwraca uwagę na źródło wpływów mało uwzględniane — dzieło Van Helmonta, którego streszczenie dano w „Pamiętniku”. A co się tyczy cz. III „Dziadów” wskazuje ścisły związek z ideami Saint-Martina.

Autor uzupełnia w tym kierunku prace Adama Niemojewskiego i Stan. Szpotańskiego. Wywody jego są przekonujące, jasne i proste. Książkę cechuje przejrzystość i poprawność literacka. Rozwiązuje ona szereg problemów ideowych, ale sięgających głęboko w postawę poety i wruszających go poetycko, co się da wytłumaczyć duchem czasu romantycznego. Nie wyjaśnia oczywiście problemu genialności poetyckiej, która potrafiła stopić doktryny z życiem i stwarzać wartości artystyczne. Ale w swoim zakresie książka oddaje Mickiewiczowi, który chciał być czytany, wielką przysługę, przyczyniła się bowiem do wyjaśnienia wielu zagadnień.

W katalogu Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu na pierwszym miejscu poza wszystkimi innymi eksponatami figurować powinna, jako przedmiot najbardziej pouczający, wielka księga, wydana staraniem Zarządu Wystawy, a nosząca tytuł: „Bilans gospodarczy dziesięciolecia Polski odrodzonej”. Są to dwa wielkie tomy *in quarto*, z których pierwszy liczy stron XIV i 534, a drugi str. 4 nl. i 509, razem 1061 stronice.

Całość składa się z ośmiu działów: 1. Terytorjum i ludność, 2. Rolnictwo, 3. Przemysł (tom 1), 4. Komunikacje, 5. Obrót, 6. Finanse publiczne, 7. Stosunki społeczne, 8. Organizacje zawodowe. Jednym słowem mamy w tych księgach ośm działów zbiorowych, traktujących o rozwoju naszego życia etnicznego, gospodarczego i społecznego za lat dziesięć.

Dział rolniczy opracowało 9 specjalistów, przemysłowy 14, komunikacji 6-lu. i t. d. Ogółem zamieszczono w „Bilansie” 48 prac, znakomicie dobranych, a wykonanych przez znawców według najświeższych materiałów statystycznych.

Kedację tego kapitalnego dzieła zajęli się profesorowie uniwersytetu poznańskiego. Stefan L. Zaleski, W. Schramm i E. Taylor — pod głównym kierownictwem pierwszego z nich

Wydany przez Wystawę z szczęśliwej incjatywy dyrektora administracyjnego Leona Szczurkiewicza „Bilans gospodarczy” jest nie tylko głównym eksponatem na Wystawie, ale jedynym który może być zabrany do domu przez każdego, kto zwiedza wystawę. Jest tam ekstrakt wiedzy, jaką można osiągnąć ze studjów nad wystawą, ekstrakt wykonany przez najlepszych znawców przedmiotu. To też księga ta powinna być rozkupiona na pamiątkę i na fundament biblioteczki z nauką o Polsce, biblio-

teczki, która powinna być w każdym domu. Na to nikt nie powinien żałować wydatku, zwłaszcza w domach, które żyją w oparciu o rolnictwo, przemysł i handel.

„Bilans gospodarczy”, starannie wydany na pięknym papierze, przynosi zaszczyt redaktorowi, współpracownikom i drukarni uniwersyteckiego. Jest zaś do nabycia w składach księgarni Gebethnera i Wolffa.

Dowiadujemy się, iż wśród wydawnictw Biblioteki Medycznej (Pawlikowskiego) ukażą się wkrótce jako *opus 6* utwory znakomitej poetki Maryli Wolskiej p. t. „Dzbanek malin”. Potem bezpośrednio wyjdzie zbiór poezji Michała Pawlikowskiego „Harfa Eola”.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Alain Gerbault, który po pięciu latach podróży po oceanach Atlantyckim, Spokojnym i Indyjskim na swoim małym, bo zaledwie 11-metrowym żaglowcu „*Fire Crest*” powrócił na jakiś czas do Francji, wydał u Grasset’a książkę „*A la poursuite du Soleil*”. Podobnie jak poprzedni, Inny utwór tego śmiałego marynarza „*Seul a travers l’Atlantique*”, tak i ten ostatni nie jest powieścią. Gerbault notuje w nim z dnia na dzień szczegóły swego życia, trudności, jakie musiał zwalczać, dając nam w ten sposób bardzo ciekawy obraz zewnętrznych swoich przygod. Jedni utrzymują, iż Gerbault jest poniekąd uczniem Kousseau, będąc głęboko przekonany, iż cywilizacja zepsuła ludzkość, inni, że z powodu osobistych przeżyć stał się poprostu mizantropem. Czy tak, czy inaczej Gerbault, puszczając się zupełnie sam w podobną podróż, dał niezawodnie dowód niebywałej odwagi. Czy zupełnie sam? — Nie, gdyż w kabinie jego małego statku, nieraz zupełnie wodą zalanej, posiadał on w bibliotece bibliotekę francuskich i angielskich autorów, z którą się nigdy nie rozstał. Świadczy to, że pomimo wszystko cywilizacją nie gardzi, ale jej potrzebuje.

Dużo już książek pisarze poświęcili zwierzętom. W zakresie tej literatury „*Les dialogues de bêtes*” pani Colette będą zawsze zajmowały pierwsze miejsce. Paweł Achar d, bystry krytyk teatralny dał się pociągnąć również „psim” tematem, publikując „*Nous les chiens*” (Les Lettres Françaises). Ale autor nie opowiada historii swego psa. Przeciwnie opisuje nam świat i ludzi, widzianych oczami tego psa. To ujęcie daje nam niezmiernie zabawny psł światopogląd, niepozabawiony oczywiście trafnych uwag, a nawet filozoficznych obserwacji, zaprawionych wesołym sosem dobrego humoru.

Louis Roubaud, który już poprzednio wydał ciekawą książkę p. t. „*Au pays des mannequins*”, publikuje teraz niemniej interesujący utwór „*La Bourse*” (Grasset édit.). Ostatnie skandale finansowe dodały mu jeszcze aktualności. Dlatego też giełda, ta bezduszna międzynarodówka finansowa, odsłania nam cały ten specjalny świat, za którego kulasami tajemnicze układy wzbogacają i rujną ludzi z dnia na dzień niemal. Rozgrywają się tam po części nietylko losy poszczególnych osób, ale państw, bo czyż nie zależą one w poważnej mierze od fluktuacji tejże giełdy. Książka ta cenna ze wszech miar, a pisana w sposób żywy, porusza cały szereg ważnych problemów ekonomicznych i finansowych doby współczesnej.

TEATR

„ARTYŚCI”

ARTYŚCI, czy pajace — motyw wielokrotnie w dramacie, filmie i operze wyzyskany — są bohaterami bardzo udatnej sztuki amerykańskiej pp. G. M. Wattersa i A. Hopkinsa p. t. „Artyści”, wystawionej 12 b. m. w teatrze Polskim. Nie wiem, jak się ten rodzaj sztuki nazywa, mówią w Warszawie: „rewjowa”; rzeczowo robi wrażenie, że jest dziełem sztuki podobania się tłumom młejskim, ale sztuki szlachetnej.

Niegdyś teatr zdobywał w ten sposób widzów, którzy nigdy teatru nie widzieli; teraz zdobywać tak musi publiczność już zepsutą karesami wielkiej sztuki i wiarołomną, uciekającą do kina i kabaretu. Żeby to osiągnąć, rozwija całą swoją przemyślność w celu połączenia z dramatem kabaretu.

Czego tam niema w tem widowisku! Jak w barszczu małoruskim wszystkiego potrosze: nawet smaczne, ale nadewszystko dużo. Moment ilościowy silnie uwzględniony w tej sztuce: sześć odstępów; dramat, doskonale zamknięty w trzech aktach, rozepchano kabaretem.

W tej sztuce, pisanej dla tłumu amerykańskiego, niezbyt przecież wybrednego, zastanawia ambicja dramaturgów, aby kabaret był dobrze upozorowany koniecznością literacką; a to było możliwe dlatego, że akcja toczy się wśród komedjantów w „budzie” wędrowniej, w czasie ich pracy zawodowej. Wysoką zaś zaletą sztuki jest doskonały gatunek roboty dramatycznej. Mamy wrażenie, iż spółka autorów postanowiła dowieść, że jednak — pomimo wszystkie rozkosze kabaretu — nie masz na scenie nic piękniejszego, jak dramat. Oto patrzcie — powiadają oni — ogarnęliśmy i kabaret: dajemy go wam. Ale jakie żałosne są jego zabawy w odczłowieczanie, robienie z ludzi automatów, gdy my, dając im życie ludzkie w dramacie, możemy wam uprzytomnić, żeście wszyscy ludźmi. Poznacie to stąd, iż płakać będziecie. Któż was tak uczcić potrafi? Kto wam kiedy pokazał skarby serca?

Jest w tej sztuce jakiś początek przewyciężenia upadku grożącego dramatowi. Doświadczenia z kinem i kabaretem przekonały kierowników teatru i dramaturgów, że tłum dzisiejszy, pomimo odmiennych pozorów — to ten sam dawny, tylko przefasonowany lud i że stosownie przefasonować trzeba sztukę, dać jej nowożytnę szaty, bo ten lud się na tem zna, sam ubrany po pańsku; ale wyperswadować sobie trzeba, że się gra dla „pięknoduchów”. Trzeba oprzeć sztukę na tem, co jest proste i stałe, co lud każdy sercem wyczuwa: na wiecznych wartościach duchowych. Dodam nawiasem: nie wierzę, żeby teatr, będący z natury swoim zjawiskiem kultury społecznej, czemś, co jest oparte na obcowaniu sztuki z publicznością, mógł dokonać na sobie cudu odrodzenia bez pomocy publiczności, albo żeby mógł się zbawić, deprawując ją. Genjuszem teatru będzie zawsze ten, kto odnajdzie serce publiczności i na niem się wesprze. Wszystkie inne części ducha i ciała ludzkiego zawodzą.

Ze sztuki tych panów widzę, że w Ameryce szanują człowieka, wierzą w jego dobrą naturę i na tej wierze budują. Tutaj w Warszawie, gdzie odzwyczajono nas sztukami rodzimymi (oryginalnymi) od widoku człowieka rosnącego, bo wszystko leci w błoto, wierzyć się nie chce, że można w sztukę „rewjową” włożyć tyle miłości dla ludzi i tyle znawstwa tajemników idealistycznych duszy. W tej gromadzie komedjantów wszyscy kochają artyzm. Bohaterowie dramatu: komik i śpiewaczka płoną, jak pochodnie, żądzą wydobyć z siebie entuzjazmu czegoś twórczego. Całość zaś koronuje poezja miłości śpiewaczki i męża jej kłowna, miłości czystej i odradzającej.

Jeżeli to melodramat, to w dobrym guście, Broń Boże jednak nie można u nas w teatrze wspominać tego wyrazu „melodramat”, bo dystyngowany inteligent, z zajęciem słuchający sztuki, straci wtedy serce dla niej i humor i dobre mniemanie o sobie.

Sztukę, skomplikowaną kabaretem, teatr Polski wystawił przy pomocy kabarecisty p. Hemara i bardzo udatnie. Triumfem teatru była wszakże znakomita obsada głównych ról. Trudno wyobrazić sobie lepszych wykonawców, jak pp. Modzelewska i Jaracz. Doskonałe też były postacie drugoplanowe: pp. Dominiaka, Zimińskiej, Małkowskiego. Jaracz, jak wiadomo, jest ozdobą nowszej generacji teatralnej. Ma on w tej sztuce linję koncertową od postawy komika ekscentrycznego do zawrotnych wyżyn tragizmu. Podziwiano go i oklaskiwano. Na równi z nim czarowała talentem p. Modzelewska. Dziwnie przytem role odpowiadały naturze tych artystów, bo wydają się oboje ludźmi z dobrą i bogatą duszą, oddaną sztuce. To też ani razu nie czuliśmy na nich maski aktorskiej. Bodaj nawet dzięki nim sztuka wydaje się lepszą, niż jest w istocie. Warto widzieć!

Z. W.

OFENSYWA

CZEPIANIE SIĘ SARKOFAGÓW

CZY p. Bolesław Raczyński jest jeszcze muzykiem obecnie, czy też zmienił już zawodny zawód, nie umiem tego powiedzieć. W każdym jednak razie pamiętam muzyka tego nazwiska, który niegdyś w Krakowie nawet dokomponowywał ilustracje muzyczną do kilku fragmentów „Akropolis” Wyspiańskiego.

A stało się, czy wydarzyło to w ten sposób, że brat p. Bolesława Raczyńskiego, świetny chirurg, ożeniony był z jedną z panien Pareńskich, w których domu gościnnym Wyspiański w ostatnich latach bywał stałym gościem. Tam sprezentowano mu i młodemu amatorowi muzyki i zalecono do komponowania ilustracji muzycznych. W każdym atoli razie p. Bol. Raczyński w ten sposób i tą drogą do wielkiego poety się zbliżył na taki dystans, na jakim było jeszcze ze dwa tysiące Krakowian, wśród nich także i p. Michalik i Frist, i pani Ciaputkiewiczowa i Małałkowska, i radca Faferko i profesor Golański i bębenista z orkiestry teatralnej Supelkiewicz i pomocnik suflera Trzepałko i introligator Flackiewicz. Każda z tych osób mogłaby też cośkolwiek opowiedzieć z życia Wyspiańskiego, ale nie żadnych relacji potomność i my współcześni jesteśmy ciekawi.

Z dużym zainteresowaniem czytało się reminiscencje kuzyna poety, również poety, Waśkowskiego i z dużą niecierpliwością oczekujemy wspomnień Ordyńskiego, który z Wyspiańskim pokumał się w najciekawszych latach i najważniejszych. Natomiast do relacji p. B. Raczyńskiego niktby poza jego osobistymi znajomymi w Krakowie nie przypisywał, normalnie biorąc, najmniejszej wagi.

Teraz atoli musimy do nich przyłożyć wagę większą, ponieważ p. Bol. Raczyński, drukując swoje cienkie wspominki w „Głosie Prawdy literackim”, dopuścił się, i to świadomie, całego szeregu nieścisłości, naciągów prawdy i poprostu grubych błędów. Ze ten pan ma przed sobą jakiś celik konkretny blagując to i owo, można zaraz łatwo odgadnąć, gdy się przeczyta te wspominki, w których krakowski *piccolo maestro* patrzy na siebie przez zabawnie powiększające okulary i ni stąd ni zowąd coś się tam „ważny czyni”. Gdzie kto kiedy za życia Wyspiańskiego zajmował się osobą p. Raczyńskiego? Ot gość... przechodzien... jak tyłu... no i tyle. A tu ze wspomnień wychodzi „osoba!” figural... personal... *persona grata*... Ktoś coś... niby tego... nie w kij dmuchał... *par inter pares!* Pan Raczyński wyłapał kilka anegdot starych i znanych, które trywializując odgrzebuje i odgrzewa. Pan Raczyński pozwala sobie przytem na ordynarne *krakauer-witze* o s. p. Kotarbińskim. Pan Raczyński kłamliwie przedstawia epizod wizyty s. p. Rabskiego na Krowoderskiej i p. Raczyński opacznie i fałszywie głądzi o odniesieniu się prasy do „Wesela”; czepia się bowiem recenzji s. p. Prokieszki w „Nowej Reformie”, który był rodzajem Sarceya w Krakowie i ze swego negatywnego stanowiska miał tak samo swoją rację, jak rację mieli Tarnowski, Morawski, Tretiak, Piniński, Weyssenhoff i wielu innych, dla których fenomen literacki Wyspiańskiego był obcy, ale którzy nie starali się odrzuć iść z prądem i z modą i asekurować swój autorytet u młodych. Biorąc z dalszej perspektywy daleko w lepszym guście jest taka patetyczna postawa obrażonego w swych wszystkich kanonach wiary hr. Stanisława ze Szlaku, od afektacji np. I. Matuszewskiego, który jako zakuty społecznik wąsko-warszawski nic a nic nie rozumiał, nie odczuwał Wyspiańskiego (jak i Słowackiego) i sztucznie i nieszczerze egzaltował się w kulce. Wbrew blagom p. Raczyńskiego (i nie tylko zresztą jego) „Wesele” od pierwszego przedstawienia zrobiło wstrząsające i druzgocące wrażenie, jak o tem świadczyć może niezapomniane świetna broszura s. p. Starzewskiego no i bez chwalby osobistej mój drukowany na trzeci dzień fejteton w lwowskim „Słowie Polskim”, wówczas jeszcze nie narodowo-demokratycznym jak niem znów w będzie w bliskiej przyszłości. Nie w tem atoli rzecz.

P. Raczyński pozwala sobie na *bluff* w większym stylu, że tak powiemy oleandronowatym i kwalifikującym się na natchmiastowe skarcenie. Blaguje bowiem w ten desęń (podkreślenia nasze):

„Poeta-wizjoner, a takim był Wyspiański, widział w skromnym naówczas konspiratorze strzeleckim, człowieku nieznanym i bezimiennym Józefie Piłsudskim, widział, realnie widział, w niedalekiej przyszłości, wodza nowej Polski, wodza, który w zgiełku bitew wywalczył krwawą pracą, realną, potężną Polskę... Wyspiański znalazł w Piłsudskim tę potęgę, której nie będzie mógł rzucić w twarz: „Oto i wasze nastroje, w pysk wam mówię litość moją”. Wyspiański postanowił pójść pod komendę Piłsudskiego. I gdy decyzję tę powziął, gdy przez podanie ręki Komendantowi wstąpił do organizacji Strzelca, drugim ruchem tej ręki podjął kartkę papieru, usiadł i zaczął pisać. Zapytany przez Komendanta, co tak na gwałt pisze, odparł: „Rezygnację z katedry w Akademii Sztuk Pięknych, gdzie jestem profesorem, nie mogę bowiem, jako żołnierz polski, brać zaborczych pieniędzy w formie poborów urzędnika austriackiego”.

Pan Raczyński jest bluffistą. Słyszał coś, że dzwonił, ale nie wie w którym kościele. Scena podobna tej miała miejsce to znaczy, że Zeromski niegdyś, kiedy jeszcze był pod ideowym urkiem J. Piłsudskiego, przyprowadził go do Wyspiańskiego i wtedy istotnie Wyspiański zdecydował się dać J.P. rękopis hymnu, „Veni Creator” (o Ideologii jakże „bogoojczyźnianej”, narodowej), istotnie gest podania się o dymisję wykonał, której to dymisji ni Fałat ni gremjum profesorów nawet nie rozpatrywało, poczem wszystko wróciło nanormalne tory. Jednorazowo tedy Wyspiański wizytę J. Piłsudskiego przyjął i na tem się cały stosunek ich skończył.

Powiedzenia natomiast następnego pana Raczyńskiego, że Wyspiański „postanowił pójść pod komendę Piłsudskiego” i że Wyspiański „wstąpił do organizacji Strzelca” są świadomym kłamstwem, trywialną blagą, tendencyjnym oszukiwaniem opinii, jak również blagami są następne zdania, że „Wyspiański poznaje Józefa Piłsudskiego, z entuzjazmem odnosi się do jego osoby... że „Wyspiański został olśniony poznaniem Piłsudskiego” i t. p.

To są już osobiste domniemania, hipotezy względnie spekulacje p. B. Raczyńskiego na żadnym faktycznym materiale nie oparte.

Jeżeli zaś jest taki materiał, to wzywamy p. Raczyńskiego z Krakowa, aby go jednak opinii publicznej sprezentował. Nie wiele to jeszcze powiększyłoby wielkość p. marszałka, ale bądź co bądź wykazywałoby w czem ostatni z wieszczów przewidując miał rację, a w czem się omylił. Jeżeli p. Raczyński nie udowodni nam dokumentarycznie, że Wyspiański wstąpił do organizacji Strzelca i postanowił pójść pod komendę Piłsudskiego, to będziemy uważali to, co napisał, za tendencyjne, spekulacyjne, świadome kłamstwo.

Jeżeli zaś p. Raczyński udowodni nam czarno na białem, że Wyspiański wstąpił do organizacji Strzelca, to możemy mu udowodnić czarno na białem, że w pierwszych dniach sierpnia r. 1914 byłby tak z tem wszystkim zerwał, jak zerwał Zeromski, może nawet równie drastycznie.

Niech sobie tylko krakowski *musicus—pifficus* przeczyta Zawiszę w „Weselu”... no i opis zbombardowanej przez Prusaków katedry w Rheims.

Ścieżki do orderów, pensyjek, posadek, zaszczytków i t. p. nie powinny przechodzić przez kryptę na Skałce. Zostawcież przynajmniej Zmarłych w pokoju, cywilne landsknechty z Lodomierji!...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Pan premier Świtalski z żoną i sekretarzem wyjechał samochodem do Biarritz, gdzie miał zabawić do 1 sierpnia, ale teraz przedłużył swój pobyt w tej pięknej miejscowości do 18 sierpnia. Ile kosztuje taka przyjemność w Biarritz, o tem nie będziemy pisali, bo za takie obliczenie kosztów według danych, dostarczonych nam przez znawcę tamtych stosunków, „Myśl Narodowa” była już skonfiskowana, aczkolwiek nie było tam mowy ani o p. Świtalskim, ani o p. Sławku. Z „Naprzodu” dowiadujemy się teraz, że Biarritz dla p. Świtalskiego może się stać specjalnie kosztowne. Dziennik ten notuje pogłoskę, z której można miarkować, że w tym wypadku w ocenie tej podróży samochodowej zgadza się ze stanowiskiem opinii publicznej „czynnik miarodajny” i że p. Świtalski powróci do Warszawy samochodem z żoną i sekretarzem, ale jakoby nie na stanowisko. Ale to tylko pogłoska.

„ABC” (z 10 sierp.) i „Gazeta Warsz.” (z d. 11 sierpnia) ogłaszają telegram:

„NICEA 9.8 (Tel. wł.). Bawi tu od 2 tygodni polski minister sprawiedliwości, p. Car. Pan minister Car przybył tu samochodem z Warszawy. Towarzyszy mu w podróży osobista sekretarka p. Blikiówna. Pomimo przestrzegania przez p. Cara *incognito*, władomość o przyjeździe polskiego ministra szybko rozeszła się po mieście, a miejscowe władze zarządziły służbę bezpieczeństwa w hotelu „Negresco”, w którym p. minister zamieszkał.”

Mniej radosna jest podróż ministra spraw zagranicznych Zaleskiego do Hagi, który się tam udał w sprawach służbowych wielkiej wagi, bo na konferencję międzynarodową, gdzie właściwie rozstrzygają się losy bezpieczeństwa polskiego na zachodzie. Sanacyjny „Głos Prawdy” (z dn. 9 b. m.) ogłasza telegram z Hagi:

„Polska delegacja skarży się, iż nie jest dopuszczana do komisji politycznej, chociaż rozpatrywane tam są kwestje dla Polski bardzo ważne. Min. Zaleski wskazał p. Briandowi, że polska delegacja nie przybyła do Hagi dla 600,000 marek różnicy w rocznych spłatach, które Polska otrzyma mniej według planu Younga w porównaniu z planem Dawesa”.
To jest już tragiczna strona zabawy.

BANK HANDLOWY W WARSZAWIE S.A.

ROK ZAŁOŻENIA 1870.

Centrala w WARSZAWIE ul. TRUGUTTA 7/9

KAPITAŁ ZAKŁADOWY 20.000.000.—

Adres telegraficzny Centrali i wszystkich Oddziałów z wyjątkiem Wilna „HANDLOBANK“.

Adres telegraficzny Oddziału w Wilnie:
„HANDLOWY — WILNO“

Oddziały miejskie: Królewska 6, Tłomackie 1.

Oddziały prowincjonalne: Baranowicze, Będzin, Brześć n/Bugiem, Częstochowa, Kalisz, Katowice, Kowel, Łódź, Lublin, Lwów, Płock, Radom, Równe, Sosnowiec, Wilno, Włocławek.

OSTATNIE NOWOŚCI

BARTOSZEWICZ Joachim. Zagadnienia polityki polskiej.	zł. 3.—
DROBNIK Jerzy. Przesilenie współczesnej polityki.	6.—
JABŁONOWSKI Władysław. Mowy Mussoliniego	2:50
KINIORSKI Marjan. W służbie ziemi. Refleksje rolnika na posterunkach publicznych	10.—
KONOPCZYŃSKI Wład. Umarli mówią	5.—
KOZICKI Stanisław. Na Sycylii	4.50
PAMIĘTNIK Koła Kielczan z r. 1928	6.—
PIENKOWSKI Stan. W ogniu walki. Szkice w sprawie żydowskiej	3.—
RYBARSKI Roman. Handel i polityka handlowa Polski w XVI stuleciu. 2 tomy	36.—
SKIWSKI Jan Emil. Poza wieszczbiarstwem i pedanterją	8.—
SOBIESKI Waclaw. Dzieje Polski lat ostatnich (1865--1926)	5.—
„ „ „ Walka o Pomorze	6.50
ŚWIĘTOCHOWSKI Aleks. Nałęcz. Powieść	8.—
WASILEWSKI Zygmunt. Poezi i teatr. Spostrzeżenia	7.50
„ „ „ Wspomnienia o Kasprowie i Żeromskim	4.—
DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.	

„MORZE“

Jedynе w Polsce czasopismo ilustrowane, poświęcone zagadnieniom morskim i kolonialnym.

WYCHODZI 1-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

Marynarka Handlowa i Wojenna, Żegluga Morska, Sprawy Portowe, Literatura Morska, Sport Wodny, Bogata Kron. Morska, Dział Kolon.

Każdy numer zawiera obfita treść oraz kilkadziesiąt ilustracji i rysunków w tekście. Cena numeru pojedynczego 1.20 gr. PERNUMERATA roczna zł. 12, półroczna zł. 6, Konto czekowe PKO 9747.

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA, KRÓLEWSKA 9, M. 6. TEL. 315-88.

Administracja na żądanie wysyła bez płatne numery okazowe „M O R Z E“.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „Z O R Z A“
wyszła świeżo książka p. t.

Dzieje Polski lat ostatnich od roku 1865

Książka jest dziełem prof. WACŁAWA SOBIESKIEGO i stanowi osobne, niezmiennione wydanie tomu III-go jego „Dziejów Polski“. Posiada wszystkie zalety dzieł tego pisarza. Nowe wydanie zostało zaopatrzone w 20 ilustracji, por trety postaci historycznych omawianej epoki.

Książka ma 245 stron druku. Kosztuje 5 złotych.

Nabywający „Dzieje Polski lat ostatnich“ za pośrednictwem „Myśli Narodowej“ nie ponoszą kosztów przesyłki książki.

ZAKŁADY OGRODNICZE

C. ULRICH

założ. 1805 r. w Warszawie, S. A.
Centrala — Ceglana 11, tel. 9-25.

NASIONA

WARZYWNE, KWIATOWE, PASTEWNE, ROLNE.
NARZĘDZIA I PRZYRZĄDY OGRODNICZE

Własne wypróbowane, specjalne
ŚRODKI CHEMICZNE

do walki ze szkodnikami drzew:

KARBOLINA ULRICHA do opryskiwania drzew owocowych, zwłaszcza śliw. Tępi mszyce, tarczki i grzybki.
SANOL ULRICHA do smarowania drzew, owocowych przeciw korówce (mszyce krwistej).

PARASAN ULRICHA przewyższa własności cieczy bordoskiej, absolutnie nieszkodliwy dla liści i owoców.
LEP ULRICHA NA OPASKI. Zabezpiecza drzewa owocowe przeciw przedzimkowi.

Ponadto specjalne środki do niszczenia niepożądaney trawy na ścieżkach, drogach, placach sportowych i t. p.

NAWOZY SZTUCZNE MIESZANE.

specjalne: do kwiatów pokojowych i gruntowych, do róż, do poszczególnych warzyw, do krzewów owocowych, do drzew owocowych.
Sprzedaż hurtowa i detaliczna.

Cenniki, katalogi i oferty na żądanie.
Drzewa i krzewy owocowe i ozdobne.

TREŚĆ: Ciemności sanacyjne *St. Sachy*.—Targi haskie *St. Szczutowskiego*.—Humanista na wygnaniu *Wł. Jabłonowskiego*.—Hymn do wody *M. Pawlikowskiego*.—Liberum veto *Al. Świętochowskiego*.—Głosy: O ekspansję wielkopolską *K. Stojanowskiego*; Podkopy żydostwa *M. Wierzbiny*.—Wychowanie narodowe *J. Zamorskiego*.—Nauka i literatura („Z przekładów“ *A. Wysockiego* i t. d.).—Teatr. *Z. W.*—Ofensywa *A. Nowaczyńskiego*.—Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 2545. Adres Administracji: Al. Jeruzolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 1290.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45,
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI

Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michałskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15.

PRZESYŁKA POCZTOWA OPLACONA RYCZAŁEM